



№ 52.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 26 grudnia 1868r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Kościół w Tarnopolu (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Pogadanki o rzeczach bieżących. — Obrazki z dawnych czasów, p. Wielisława — Wieśniacy powracający z jarmarku (drzeworyt). — Boże narodzenie (drzeworyt). — Kronika zagraniczna p. J. I. Kraszewskiego. — Rysunki humorystyczne F. Kostrzewskiego. — Szachy. — Rebus. — Kilka słów o charakteryce. — Uroczna, powieść przez T. T. Jeża (dalszy ciąg). — Spis rzeczy.

KOŚCIÓŁ W TARNOPOLU.

Mając rycinę pięknego tego kościoła przed oczyma, zapewne, szanowny czytelniku, i wewnętrzną jego postać, choćby z krótkiego tylko opisu, poznać zapragniesz. By więc ciekawości twojej zadość uczynić, myślą cię po nim oprowadzę.

Ledwie próg drzwi wchodowych przestąpisz, mimowolnie oczy twoje w górę się zwróca, szukając kopuły, która cię na zewnątrz wdzięczną harmonią swoich rozmiarów uderzyła. Z jakimże zadziwieniem spostrzeżesz nad sobą olbrzymiej wysokości, gdzieś aż błękitu sięgające sklepienia i łuki! Zachwycony tym widokiem, chcesz mu się bliżej przypatrzeć; lecz nimeś kilka kroków uczynił, już znika uluda, i nie bez pewnego rozczarowania odkrywasz, że to cię tylko mistrzowski pędzel omamił, zwykłe sklepienie, za pomocą farb i perspektywy, w najcudniejszą przemieniając kopułę. Jest to zaiste arcydzieło sztuki. Na filarach dźwigających tę nadpowietrzną świątynię, stoją cztery wyniosłe postacie, przedstawiające cztery wówczas znane części świata, a między niemi unoszą się cztery święci ewangelisci, jakby wskazując im drogę do nieba.

Kiedyś się już nasycił pięknością tych malowideł, przebiegnij wzrokiem otaczającą cię przestrzeń. Główna nawa w której się znajdujesz, jest



Kościół w Tarnopolu. (Podług nadesłanej fotografii.)

formy owalnej, od naw pobocznych czterema potężnymi filarami oddzielona. Dwa z tychże, bliżej prezbiterium stojące, szczególniejszą na siebie zwracają uwagę. Na jednym, po prawej ręce, zobaczysz pomnik fundatora tego kościoła, Józefa Potockiego, złotem figurami symbolicznie ozdobiony; na drugim zaś po lewej, okazała kazalnica, również rzezbami ozdobiona, z których najbardziej uderzającymi są: św. Wincenty Fereryusz, na szczycie złotego podniebia stojący, i czterech ojców świętych, osadzonych na dolnym gzymsie w około ambony. Tuż obok tych dwóch filarów, stanowiąc niejako wchód do prezbiterium, stoją ukośnie dwa małe ołtarze, z których jeden św. Franciszkowi Ksaweremu, drugi św. Ignacemu Lojoli jest poświęcony. Obrazy tych świętych, artystowskiego pędzla, umieszczone są między czterema doryckimi kolumnami, na których takż gzymś spoczywa; co wszystko, choć skromne, miłe na widzu czyni wrażenie.

Postąpmy teraz naprzód do prezbiterium, aby wielki ołtarz bliżej oglądać. Jest on bez wątpienia najkosztowniejszą, a oraz najstarszą wykończoną, ozdobą tego kościoła. Wywyższenie o kilku stopniach prowadzi do samego ołtarza; cztery wspinałe, w korynckim stylu ozdobione kolumny, wznoszą się na podstawie brunatnej w białe centki, całą szerokość prezbiterium zajmującej, a na tych spoczywa bo-

gato rzeźbiony gzymś, tego samego stylu co i kolumny.

Na tle ołtarza popielatém, kolumny te różowawe bardzo pięknie odbijają i naturalny marmur aż do złudzenia naśladują. Między nimi stoją kolosalnej wielkości posągi apostołów Piotra i Pawła, jako też świętych Dominika i Ignacego Lojoli; w środku zaś umieszczono złotiste tabernaculum, podług opisu arki przymierza starego testamentu dokładnie zbudowane.

Nie brakuje nawet dwóch cherubinów, którzy w postaci kłęzącej, kiedy się Przenajświętszy sakrament wystawia, w głębokiej modlitwie hold mu oddawać się zdają.

Wszystkie rzeźby są dłuta bardzo wykwińskiego. Obraz tego ołtarza przedstawia św. Wincentego Ferreryusza, wśród srebrnych obłoków ku niebu ulatującego. Nad gzymsem wznosi się olbrzymiej wielkości krzyż z figurą Zbawiciela Pana, złotistemi promieniami i srebrzystymi obłokami otoczony, a obok niego widać dwóch aniołów, przedstawiających stary i nowy testament; dlatego jeden z nich trzyma tablicę z dziesięcioma przykazaniem, a drugi kielich i hostyę świętą, wskazując na Chrystusa, jako założyciela prawa miłości. Malowidło dobrego pędzla, które się na całe sklepienie nad prezbiterium rozciąga, przedstawia Najświętszą Trójcę, unoszącą się między niebem i ziemią, a nad samym ołtarzem cud św. Wincentego Ferreryusza, uzdrawiającego konającą niewiastę.

Teraz nam tylko nawy poboczne do zwiedzenia pozostają. Są obydwie kształtu podłużnego. Po prawej stronie ołtarz z naśladowanego marmuru, zbudowany ku czci Najświętszego serca Matki Boskiej, jest bardzo gustownie czterema kolumnami i dwoma posągami św. Joachima i św. Anny ozdobiony. Nad kształtnym gzymsem ołtarza znajduje się pośród złotych promieni piękny obraz św. Dominika, w ozdobną ramę oprawiony. Dwa małe ołtarzyki, jeden pośrodku ściany bocznej, a drugi pomiędzy filarami umieszczony, nie zawierają nic znakomitego. W nawie po lewej stronie cały ołtarz blachą mosiężną posrebrzaną i wyzlacaną jest obity. Na czterech pilastkach stylu korynckiego spoczywa piękny gzymś w tym samym guście, a nad nim Imię Maryi pośród złotych promieni jaśnieje. Ołtarz ten poświęcony jest czci Matki Boskiej Różańcowej. Obraz przedstawiający tę tajemnicę miernego jest pędzla. Ołtarzyk św. Antoniego z Padwy przy ścianie bocznej wcale nie szczególny; ale zato ołtarzyk św. Krzyża między filarami nowo zbudowany, należy do najpiękniejszych ozdób tego domu Bożego. Dla ukazania przestronności tego kościoła wspomnę tylko, że ma 129 stóp długości, a 84 szerokości. Wysokość tak głównej nawy jakoteż pobocznych, jest ich dolnym rozmiarom zupełnie odpowiednia. Cztery duże okna w prezbiterium, sześć u góry nawy głównej, a drugie sześć niżej w nawach pobocznych, dają w ciągu dnia piękne światło temu gmachowi. A kiedy rześiste lampy po wspaniałych, bardzo symetrycznie całą główną nawę dwa razy opasujących gzymśach, przy wieczornych solennościach rozstawione, połączą się z odbłaskiem licznych świec na każdym ołtarzu gorejących, to całe wnętrze tej świątyni przedstawia tak czarujący widok, że nam jęj wiele miast naszego kraju pozazdrościć może.

Kronika tygodniowa.

Czy pamiętacie dawne kantyczki?

Nietylko o śpiewach mówię, ale i o książce która je zawierała w sobie.

Tę książkę naprózno dziś szukać. Stała się ona prawdziwą rzadkością bibliograficzną i chyba gdzie na wsi starzy ludzie uchowali ją jeszcze, wydobywając raz do roku, dla odśpiewania piosenek kolendowych, a potem chowając starannie do szafki, gdzie za szybami pokrytymi zielonemi firaneczkami, bezpiecznie już sobie przez cały rok spoczywa, wraz z innymi pamiątkami rodzinnymi.

Ta książka kantyczkowa była niewielka, podłużna, oprawna w skórę, a związana tasiemkami. Druk na bibulastym papierze był spory: wielkie litery i wrazy *Chrystus* i *Marya* odznaczano czerwoną farbą.

Do każdej kolendy dodane były i nóty, naturalnie śpiew tylko, bez akompaniamentu, a chociaż najczęściej ci co śpiewali z kantyczek nie znali się na nótach, wpatrywali się jednak w nie sumiennie, jak gdyby w nich jaka siła mistyczna leżała.

Kantyczki mieściły w sobie wszystkie śpiewy kolendowe dawniejsze i nowsze, aż po koniec osiemnastego wieku, a było tego niemało, boć przez tyle lat spory zbiór musiał powstać.

Ze śpiewów tych bardzo niewiele przechowało się dzisiaj w pamięci; niektórych słowa zaginęły, a pozostała mnzyka, w innych przetrwały słowa, ale muzykę każdy dobięra jak chce.

Uszy dziecięce już dzisiaj odzwyczaiły się od tych śpiewów, stały się one dla nich prawie obcymi, i nawet szopki utraciły swój dawny repertuar, łatając się śmiesznie nieraz przekształconemi kawałkami z oper, które dziwnie brzmią przy pokazywaniu ja-selek.

Dawniej tedy, po ukończonej wieczery wigilijnej, wszyscy domownicy łączyli się w jeden chór, pan domu intonował, i chwala Boża rozbrzmiewała się głośno, że aż serce w ludziach rosło na wspomnienie lat dziecinnych, dla których ta świąteczna chwila najmiłszą w roku stanowiła uroczystość.

Dzisiaj ubożsi przypominają sobie jeszcze coś z kolendowych pozostałości, choć po większej części zmienione to i przekształcone do niepoznania; ale tak zwany świat wykształceńszy uważałby to sobie za ujmę pilnować się dawnego zwyczaju.

Te wyrazy tak niezgrabne! ta muzyka tak niedołączna!... Lepiej oto niech Różia lub Fruzia zasiądzie do fortepianu i zagra nową fantazyją, kaprys lub etiud; wszakże przez cały rok drogo płaciło się metra, więc wartoby żeby przy końcu roku cała rodzina dokumentnie osądziła, czy było zaco płacić.

A starsi nie mają również czasu na kolendę, bo zielone stoliki otwarte, na wieczery dużo się czasu straciło; te ryby to ciężkie pożywienie, a kluski z makiem zwykły długo leżeć w żołądku, najlepiej zaś się trawi przy bezyku lub preferansie, zwłaszcza jeżeli karta dopisze.

Jeszcze tam gdy choinka ustawiona, oświecona, a cieszą się dzieci, to ten i ów zajrzy na chwilę, żeby się przypatrzeć tej pociesze; ale nikt nie pomyśli nawet o tém, żeby dzieci, zanim cacka wezmą do ręki, po dawnemu chwałę Bogu oddały.

Wiedzą też one, że w wigilię czekają na nie choinka i cacka, ale nie wiedzą że trzeba uczcić tę gwiazdkę, która przed dziesiętnastoma wiekami odkupienie ludzkości zwiastowała i dzisiaj tém wspomnieniem narodzenia Zbawiciela świeci jeszcze.

Nic więc dziwnego że dla tych dzieci, kiedy dorosną, wigilia Bożego narodzenia będzie tylko trochę dłuższym jak zwyczajny, rybnym obiadem, przed którym jest zwyczaj łamania się opłatkiem.

Ale jakie jest rzeczywiste znaczenie tego łamania się chlebem powszednim? Zkąd poszło owo zbieranie się całej rodziny około jednego stołu? o to się ich nie pytaj, bo nikt im tego nie wytłumaczył.

* * *

Nieraz, czyniąc przegląd sklepów, w których podczas obecnej świątecznej pory prawdziwe cuda bywają nagromadzone, pytaliśmy się sami siebie, jaki może być użytek z cacek dziecinnych, kilkaset nieraz złotych kosztujących.

Bo przypuściwszy już że są ludzie których stać na to, a muszą być tacy, bo pocóżby cacka podobne się sprowadzały, to koniec końców, dzieciom wszystko jedno jakiej ceny mają zabawkę, a trudno pomyśleć o niepotrzebniejszym zmarnowaniu pieniędzy, jak przy zakupie takich fraszek.

Gdybyż z nich przynajmniej przybyło coś do serca lub do głowy dziecku, jeszcze dałoby się to wytłumaczyć. Ale są to zwykłe jakieś figurki mechaniczne, w błyskotliwe gałganki przystrojone, które niczego nie nauczą i za żadną wskazówkę nie posłużą.

Owszem, dzisiejszy wyrób cacek, za które tak ogromne pieniądze wychodzą za granicę, jest według nas na zupełnie mylnym drodze.

Zaczawszy od najulubieńszej zabawki dziewczynek, od lalek, (które takiego zaszczytu dostąpiły, że pismo u nas rozrywce młodego wieku poświęcone, spro-

wadzało umyślnie z Paryża mody dla lalek i chlubiło się z tego, jako z zasługi niepośledniej) widziemy że wszystko dąży dylko do wpajania w te umysły młodociane nieszczęsnego zamiłowania zbytku i życia nad stan, które dzisiaj jest straszną chorobą, trapiącą całe europejskie społeczeństwo.

Lalki dzisiejsze ubrane bywają podług najświeższej mody. Stroiciele ich nie żałują koronek, jedwabów, aksamitów, szychów wszelkiego rodzaju. Gustowne to może i wabne dla oka, ale jakież pojęcia wpaja w dziewczynkę, którą takim cackiem obdarzają? Uczy się ona na lalce rozmaitych fantazyj i wymagań, które w dalszym życiu zechce w czyn wprowadzać. Przyzwyczajają się do tarzania w pyłe tych wszystkich kosztowności, które potem ani ją zdziwią, ani zadowolą nawet. Lalka ma krynoline, czy tam jakieś nowomodne spódnice, które dziś zastępują te upadłą wszechwładczynię mody, lalka ma fałszywe włosy i koki, lalka ma w miniaturze to wszystko, na co potem kieszeń ojcowiska lub mężowska niezdolna jest starczyć, zwłaszcza kiedy dziewczynka przyzwyczajona szarzać rzeczy na lalce, zechce po dorostaniu w tenże sam sposób sobie poczynać z własnymi.

A jeszcze gorzej może z innymi zabawkami, które bez wyboru skupują się po sklepach, bo te nietylko już na kieszeni, ale na zdrowiu okazują się szkodliwymi.

Dzienniki pisały już kilkakrotnie, żeby wystrzegać się tych wszystkich węzów faraonowych, gwiazdowych przyrządów i sztucznych ogni do dzieciniego użytku zastosowanych, pierwiastki bowiem w ich skład wchodzące, mogą szkodliwie na zdrowie oddziaływać.

Pomimo tego tych rozlicznych bawideł, pod wszelakimi kształtami, więcej się dzisiaj sprowadza niż kiedykolwiek.

Ale niemniej szkodliwe są różne zabawki optyczne, które przedwcześnie i najniepotrzebniej wzrok w dziecku wysilają i rażą. Widzieliśmy jakieś cylindry szybko obracające się, z porobionemi w nich naokoło otworami; dziecko podczas obrotu patrzy się w te otwory i widzi tam różne ruchome obrazy.

Zabawne to i dowcipnie pomyslane, ale po kilku takich obrotach emi się w oczach i wzrok się gorzej wysila, niżeli po przedłużonej nawet nad miarę pracy przy sztucznym świetle. Dzisiaj, kiedy doktorzy zwracają uwagę na tak niezwykle zagęszczanie się chorób ocznych pomiędzy młodem pokoleniem i na wytłumaczenie tego zatrważającego objawu wynajdują różne mniej więcej usprawiedliwione powody, rodzice dbali o zdrowie swoich dzieci, powinni by unikać zakupywania dla nich zabawek tego rodzaju, gdy z tej chwilowej rozrywki może prawdziwa szkoda wynikać.

Dlatego szczególnie i przedewszystkiem polecamy różne gry, które przy zabawie rozwijają zdolności umysłowe dziecka i zawsze czegoś uczą.

Pod tym względem metoda Froebela, świeżo u nas zaprowadzona i niemało zwolenników licząca, za najlepszy wzór może i powinnaby służyć.

* * *

Nadesłano nam na dziś więrszyk następujący.

Wigilia samotnych.

Na Powązkach, nad mogiłą
Zasypaną śniegiem, stało
W noc wigilii siórot dwoje
I płakało.

Gdy przez chmury pełnia blada
Martwym wzrokiem błysła wkoło,
Brat siostrzyczkę pocałował
W białe czoło.

I rzekł: „Spojrzył to choina
Na mogile rośnie matki,
Więc ustroić ją dziś winny
Dobre dziatki!”

I tak dwoje, zdjawszy z szyi
Dwa krzyżyki, zawiesiło
Na choinie, co płakała
Nad mogiłą.

* * *

W Towarzystwie zachęty sztuk pięknych odbył się w zeszłą sobotę drugi tegoroczny zakup obrazów, które w ostatnich dniach bieżącego miesiąca rozgrywać się mają.

W obu resursach, Kupieckiej i Obywatelskiej, odbywały się wybory na członków komitetu i reprezentantów, a w obu, z niewielkimi zmianami, skład dawniejszy zachowany został.

Zwracamy tutaj uwagę na działalność komitetu resursy Obywatelskiej. Materyalnie, jak wiadomo, instytucja ta w niebardzo pomyślnych znajdowała się warunkach. Budowa gmachu wyczerpała fundusze, a nadzwyczajne składki akcyonaryuszów z wielką trudnością pokryły deficyt.

Pomimo jednakże tych wysileń, komitet, wspólnie z przychodzącymi mu w pomoc reprezentantami, pilnie się krzątał, ażeby nietylko już członkom, ale rodzinom członków resursy zapewnić w należytej mierze i granicach wszelkie przyjemności, programem tej instytucji oznaczone. Z drugiej znów strony, mając na celu osiągnięcie dochodu któryby pozwolił stawić czoło licznym przyjętym przez resursę zobowiązaniom, nie zaniedbał korzystać ze wszelkich źródeł, któreby godziwie dochód ten zwiększyć mogły.

Ku temu posłużyła niemało wspaniała sala bawowa, zbudowana według tegoczesnych wymagań i mogąca uczynić zadość wszelkim wymaganiom nietylko wygody, ale i wykwiutu.

Sala ta stała się otworem dla artystów miejscowych i przybywających do Warszawy. Została już ona pod pewnym względem miejscem uprzywilejowanym koncertów i różnych występów publicznych. Odbywały się tu prelekcje, odgrywały teatru, słowem sala resursy Obywatelskiej nie próżnuje prawie nigdy, a zysk z niej osiągnięty, opłacił już sownie koszt budowy.

Niedość jednakże na tém, inicjatywie komitetu resursy Obywatelskiej, Warszawianie winni są sposobność wynagrodzenia kilku zasłużonych artystów, na których korzyść odbywały się tam uroczystości koncertowe. Możemy tu między innymi wspomnieć zeszłoroczny koncert na dochód Królikowskiego, który dowiódł jak wielką sympatyą u Warszawian potrafił sobie zjednać ten zasłużony i utalentowany artysta.

Pierwsza myśl uroczystości tego rodzaju pochodzi od komitetu resursy, a szczerze jego zajęcie się i chętny a czynny współdziałanie członków, zapewniają już z góry powodzenie każdemu wystąpieniu tego rodzaju.

* * *

Z końcem roku kalendarze wystąpiły po dawnemu do boju, rachując na zawsze zapewniony i słusznie im należący się, z powodu coraz staranniejszego doboru artykułów, odbyt.

Pomiędzy niemi kalendarz Ungra ukazał się na świat w podwójnej prawie objętości, z nowymi tytułami rycinami miesiący, układu Kossaka, a znacznie zwiększony w tym kalendarzu dział beletrystyczny, czyni z tej taniem publikacji bardzo pożądaną książkę zbiorową, w której skład wchodzi artykuły ozdobione najgłówniejszymi w piśmiennictwie krajowym nazwiskami.

Wspomnieć tu należy i o specjalnym kalendarzu handlowym, wydanym po raz pierwszy w bieżącym roku, staraniem redakcji Gazety handlowej. Jest to dokładny a starannie ułożony podręcznik dla tak licznym u nas handlowej i przemysłowej klasy mieszkańców.

* * *

Redakcja *Przyjaciela dzieci* ogłosiła w tych dniach konkurs na temata następujące: 1) *Rs. 30* za powieść dobrą, bez względu na jej rozmiary, dla dzieci dorastających. 2) *Rs. 15* za dobry artykuł treści historycznej lub naukowej. 3) *Egzemplarz Przyjaciela dzieci z r. 1868, w ozdobyj oprawie* za najlepszą poezję, bajkę lub powiastkę dla mniejszych dzieci. Termin nadsyłania prac (ulica Żabia Nr. 956) zakreślony został do 1 kwietnia 1869 r., rozstrzygnię zaś co do pierwszego zadania oddzielny komitet, co do dwóch innych sama redakcja.

Myśl to, zdaniem naszym, bardzo szczęśliwa, mogąca przysporzyć Przyjacielowi dzieci prac nader cennych i pożytecznych dla młodych jego czytelników,

zwłaszcza jeżeli, po rezultacie pomyślnym tej pierwszej próby, konkursu podobne w pewnych odstępach czasu będą powtarzane.

* * *

Najmłodszy z braci naszych w szeregach piśmiennictwa peryodycznego, bo istniejący dopiero od kwartału *Przegląd sądowy*, zapowiada w trzecim zeszycie dalsze swoje wychodzenie, zapraszając do wspólnej pracy wszystkich miłujących naukę prawa. Sądźmy że odezwa ta nie pozostanie bez skutku, bo popieranie pism specjalnych, których kilka zaledwo posiadamy, jest, według nas, obowiązkiem każdego kto miłuje naukę, a należyte ku temu posiada usposobienie. Życzymy z serca *Przeglądowi sądowemu*, aby los jego pomyślniejszy był od losu *Przeglądu technicznego*, który, ze smutkiem wyznać to należy, przed kilku laty, z powodu braku moralnego i materyjalnego poparcia, przestał wychodzić.

POGADANKI O RZECZACH BIEŻĄCYCH.

III. Pomoc obca.

Widziemy coraz czynniejsze krzątanie się około ulżenia losu niedoli.

Widziemy wchodzące w czyn *tanie kuchnie* dla ubogich.

Widziemy usiłowania do założenia stowarzyszeń spożywczych.

Więc widziemy garstkę ludzi dobrej woli i dobrych chęci, wyteżających wszystkie swe siły, aby podołać olbrzymiemu zadaniu.

Czy podołają?

Daj Boże! z serca im tego życzymy; bo powodzenie takich usiłowań jest najszczytniejszą nagrodą dla pracowników.

Należy jednak, i to koniecznie, postarać się, aby ci, co z prawa i obowiązku pomagają im powinni, nie byli obojętnymi widzami ich usiłowań.

Nikt nie zaprzeczy, że w naszym mieście znajdowała się dotąd i znajduje się jeszcze znaczna liczba osób dobroczynnych, które ofiarą własnego mienia podtrzymują upadających pod brzemieniem niedoli; że chętnie urządzano i przyjmowano udział w widowiskach, koncertach, zabawach, dla zebrania odpowiednich celowi funduszów; że głos cierpienia nigdy nie przebrzmiał bez oddźwięku w sercach szlachetnych.

A jednak ileż jest straszliwej, nie dającej się określić nędzy, której liczne mogliśmy przytoczyć przykłady!

I wiercie nam, czytelnicy, że dotąd żywa dusza nie pomyślała o tych nędzarzach, stokroć nędziej od tych co zalegają ulice i przedsionki kościołów.

A nie pomyślała nie przez obojętność, nie z braku współczucia, ale z niewiadomości istotnego położenia.

Pamiętamy że przed kilkoma laty odezwano się w pismach publicznych kogoś mającego wiarę w miasteczko, o nędzy przygniatającej tę lub ową rodzinę, wywoływał szereg ofiar, stanowiących nieraz dla niej środki utrzymania.

Pamiętamy że w ten sposób utrzymywał się kalendarz z domu Elerta; że zapewniono pomoc starcowi, wniesieniem za niego opłaty należnej jednej z tutejszych instytucji.

Dziś głosy przemawiające w pismach publicznych za starcami, kalékami, sierotami, nieraz przebrzmiewają bez echa.

Raz dlatego, że liczba potrzebujących znacznie się powiększyła, a powtóre że ludzie otrząskali się już z tym *jedynym* środkiem zwrócenia uwagi ogółu na położenie szczególnych osób.

Zadziwią się może czytelnicy, że kładziemy nacisk na wyraz, iż to jest *jedyny* środek przemówienia do uwagi ogółu i powiedzą: przecież w mieście są *opiekunowie ubogich*.

Artykuł niniejszy podpisujemy imieniem i nazwiskiem, mamy więc prawo mówić otwarcie.

Wielka, święta, pożyteczna rola opiekunów—u nas niestety leży odłogi.

Opiekun—to ojciec, to przyjaciel nieszczęśliwych, to najpierwsza ich ucieczka.

Opiekun—to powaga w swoim kółku. On zna wszystkich, i możnych i ubogich, on wie do czyich drzwi zakofatać, a w czyje wnieść pomoc, radę i ulgę.

Opiekun wie kto potrzebuje pracy, a kto ją dać może; kto przygnębiony chorobą, a kogo nauka postawiła na tém stanowisku, że może ulżyć tej chorobie.

Opiekun wie że biedna, chora wdowa nie może żywić i okryć kilkorga dzieci, a także wie że dla takich dzieci są ochrony, są instytucje opiekuńcze, są wreszcie szlachetne domy, które nie odmówią chleba sierocie.

Ale taki opiekun, aby odpowiedział swemu wielkiemu powołaniu, nie może sobie mieć poruczonych kilkuset domów, ale najwięcej dziesięć do dwudziestu (*).

Nie może trzymać się dawnych przeżytych formułek, ale iść winien koniecznie ręką w rękę z postępem wyobrażeń.

Musi być w sile wieku i w sile serca, aby podołać pracy.

On nie potrzebuje, nie powinien obarczać ogólnych funduszów wydatkami na jednorazowe wsparcia, które mało kogo postawią na nogi. On, jak powiedzieliśmy, musi wiedzieć o potrzebach biednych i umieć im zaradzić.

Piotr lub Paweł jest jeszcze w sile wieku; potrzebuje pracy, ale znaleźć jej nie może. Opiekun wie że p. X. ma fabrykę, ma zakład, ma handel, idzie więc do niego i powagą pośredniczącą w imieniu ludzkości, nakłania go, że przyjmuje Piotra lub Pawła i daje mu utrzymanie za pracę.

Wdowa i jej dzieci są bez okrycia. Opiekun udaje się do pani Y., która błyszczy w świecie, po kilka razy na miesiąc zmienia ubranie; a dama ta poczytuje jeszcze sobie za szczęście, że może okruszynami swój garderoby podzielić się z nagością.

Podupadła rodzina nie ma żadnych środków do życia. Opiekun zachęca właściciela domu, aby dał jej schronienie, a właściciela sklepu, fabryki i t. d. aby kupił kilkanaście, kilkadziesiąt biletów do taniiej kuchni i tém dał środek wyżywienia się tej rodzinie.

Trudno uwierzyć jaka jest potęga słowa ludzi przemawiających w imieniu ludzkości, a do tego jeszcze ludzi okrytych potrzebą w takich razach powagą. Co nieraz odmawia się przyjacielowi, bratu, krewnemu, tego nie odmawia się człowiekowi który stanął przed nami z *przrzędem fotograficznym opinii publicznej*.

Przyjaciel, brat, krewny, zamilczy co od nas usłyszysz, ale z takiego przyrzędu fotograficznego opinii publicznej wyjdziemy w postawie takiej, jaką sami sobie przygotowujemy.

Żeby jednak ta potęga słowa mogła odnieść skutek, potrzeba aby opiekuna nie przeladowano obowiązkami, a obok tego, aby on był człowiekiem miłym swe powołanie, aby znał ludzi nie z paletotów i kapeluszy, ale z ich przywyknień, słabostek i stosunków.

Gdy miasto nasze będzie miało conajmniej *stu* takich ludzi, przejętych ważnością i świętością swych obowiązków, takie zakłady jak kuchnie tanie jak stowarzyszenia spożywcze, stokroć skuteczniej oddziałają na masę.

Nie będzie wtedy potrzeba aby jakiś Tazio, Mundzio lub Wandzia, *rekomendowali* w pismach niedolę i sieroctwo, bo znajdują się do tego właściwe organa, za którymi stać będzie *prawo i powaga*.

Antoni Wieniariski.

(*) Nikt pewnie więcej od nas nie ceni poświęcenia i trudu opiekunów cyrkulowych przy warszawskim Towarzystwie dobroczynności, radziłyśmy przeto aby myśl autora artykułu dobrze została zrozumiana. Uznaje on w zupełności użyteczność instytucji opiekunów, ale pragnie aby ulżono im nadmiernego ciężaru i tym sposobem nastęrczo możliwość bardziej wyczerpującego spełniania przyjętych na siebie obowiązków. Nie idzie tu wcale o ścieśnienie, ale o rozwój odpowiedni.

OBRAZKI Z DAWNYCH CZASÓW, przez Wielisława.

II.

Popielaty warkocz.

(Z podania rodzinnego).

Podkomorzy Stanisław R*** był jednym z tych rzadkich ludzi, którym od kolébki szczęście, albo raczej to co nióm nazywamy, nie przestaje sprzyjać. Potomek zacnej i możnej rodziny, dziedzic obszernych włości, bardzo wczesnie wysłany został przez ubóstwiającą go matkę do Lunewilu. Ten rodzaj wychowania nadawał w towarzystwie ówczesném Warszawy szcze-

wały szczęśliwą tę, którą wyborem swoim zaszczyli. Niebawem téż hrabia Stanisław serce swe oddał w rozporządzenie stolnikównie brzeskiej M. Wybrana, piękna i nadobna Zofia, była prawdziwym aniołem, bo szlachetność przymiotów duszy, nie lękała się bynajmniej porównania z przymiotami zdobiącemi jój ciało.

Ale słusznie poeta nasz powiedział, że na tym świecie śmierć wszystko zmiecie. Niezblągana, bezlitośna, sięgnęła i po tak doskonały utwór jakim była żona Stanisława, utwór który ludzie przezwali niebiańskim, ale niestety, z ciała i kości złożony, a więc znikomy. Podkomorzyna, wydawszy na świat prześliczną córeczkę, zapadła w jakąś dziwną, trawiącą gorączkę, niepoznaną zrazu przez doktorów stolicy, którzy ją za nieuleczalne suchoty poczytali.

wały, bo niedbale przekładając karty czasopisma, oczy miał wlepione gdzieindziej i myślał o czém innym, a ciągle wyteżanie uwagi na jeden przedmiot, wprawiło go w rodzaj letargicznego znużenia.

Wtém zapukano zlekka do drzwi pokoju, i weszła wykwintnie ubrana garderobiana, Paryżanka rodem, z oznajmieniem, że jój pani znowu się czuje gorzej i prosi pana do siebie. Zerwał się na to wezwanie podkomorzy, udając się do pokoju żony, z widoczną trwogą i niepokojem na twarzy, bo ranne konsylium najpierwszych doktorów stolicy, zostawiło zrozpaczonemu jakiś promyk nadziei.

Niem mało jest ludzi, których smuci i niepokoi widok trumny, karawanów, całunów i t. p. przyrzędów. Według nas, pokój chorego, pasowanie się jego ze śmiercią, śledzenie jak uchodzi to co nazy-



Wieśniacy powracający z jarmarku. (Z obrazu J. Brandta, rysował na drzewie W. Szerner).

gólny rodzaj przywilejów, o których dziś już nawet wyobrażenia nie mamy.

Hrabia Stanisław (bo po drodze kupił sobie taki tytuł od jakiegoś bankrutującego ksiądzka), wrócił wprawdzie przesiąknięty bezreligijnością filozofii ówczesnej i niezawodnie mniej dla kraju użyteczny, aniżeli wielu uczniów, nawet średniej nauki, ze szkół miejscowych; ale właśnie może dlatego, że wszystkiém co swoje gardził, stał się wkrótce bożyszczem salonów, kobiet i całej bezmyślnej zgrai próżniaków, która w każdej niemal stolicy przybiera niezasłużony nieraz tytuł wyższego towarzystwa, albo osób lepszego tonu.

Bogatemu paniczowi niedługo pozwolono pozostawać w beżeństwie. Nieomal wszystkie matki ofiarowały mu się, narzucały z córkami i z góry nazy-

W chwili gdy się nasze opowiadanie rozpoczyna, znajdujemy podkomorzego zamkniętego we własnym pokoju, dokąd zmęczony czuwaniem przez nocy kilka u łoża ukochanej chorój, udał się, szukając spoczynku. Ale sen w wielkich zdarzeniach życia, które wstrząsają jestestwem naszém, niełatwo klei powieki. Po bezskutecznych usiłowaniach aby zasnąć, wziął się do czytania świeżo przyniesionej gazety Lejdejskiej, najwięcej wzięcia wówczas mającej i wymagania ówczesnych polityków zupełnie zaspokajającej, jakkolwiek nieraz tylko po ćwiartce druku w sobie zawierała.

Numer który leżał przed strapiionym małżonkiem, pełen był najciekawszych wiadomości. Widać jednak że w obecnym nastroju duszy pana Stanisława nawet brzemienne przyszłością zdarzenia mało go zajmo-

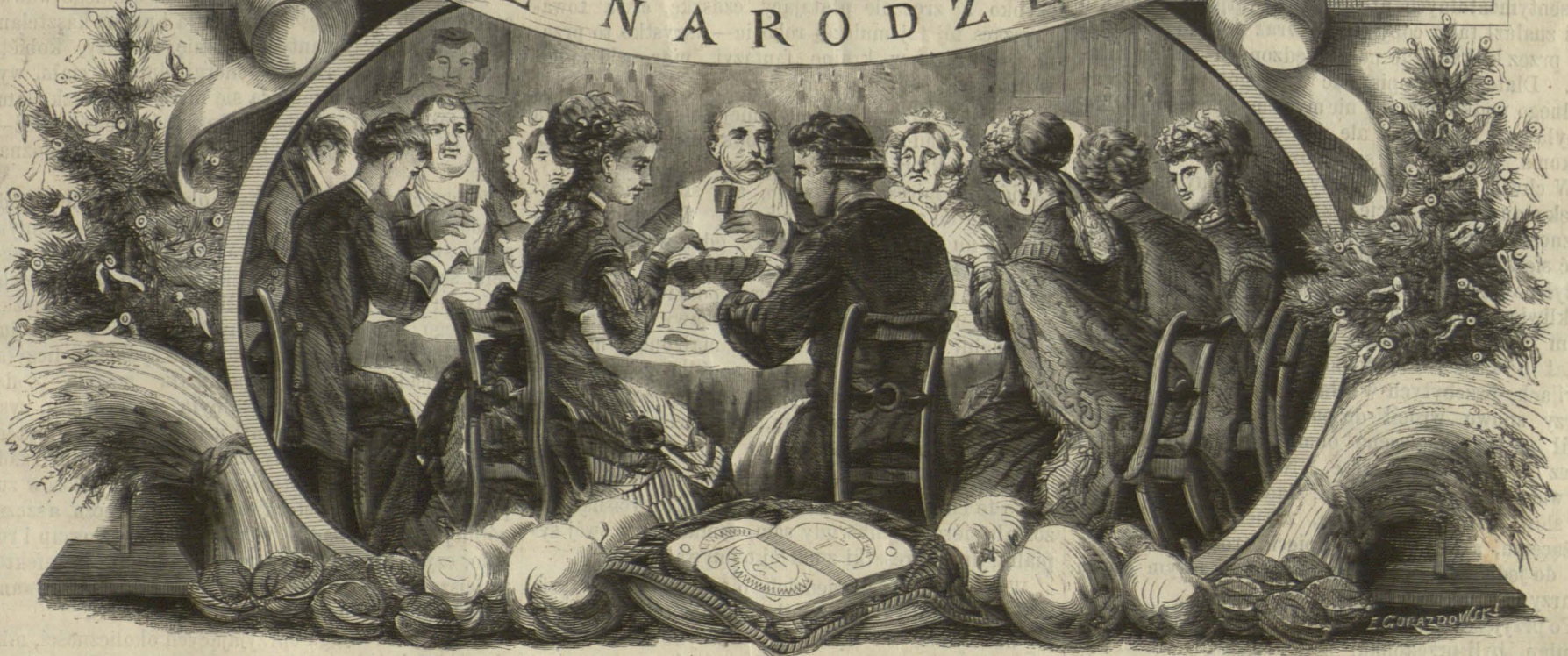
wamy życiem, są to widoki daleko silniej przejmujące, pełne tajemnej grozy, strasznej i niepojętej zarazem, szczególnież jeżeli choroba napastuje młodość, wdzięk, cnotę, wszystkie słowem owe skarby i pociechy ludzkie, stanowiące wieniec doczesnego żywota.

Widok pokoju o którym mowa, tém przykrzejszym był dla najobojetniejszego nawet oka, że obok łoża boleści pięknej, w kwiecie wieku gasnącej niewiasty, stała dziecięca kolébka, a w niej kwiliło niemowlę, już tak wczesnie skazane na sieroctwo.

W ciepłej, odurzającej, pomieszanej z wonią lekarstw i kadzideł atmosferze, smutno błyskało światło jedynej woskowej świecy, starannie zasłonięj ekranem. Ponurą ciszę, jaka zwykle ogarnia miejsca gdzie już śmierć gości zaczyna, przerywał tylko mo-



BOŻE NARODZENIE



Układ i rysunek Kossaka.

cny kaszel chorąg, po którym rzewnym wybuchała płaczem.

Inną jest śmierć starca, którego już samo znużenie wiekiem do odpoczynku wzywa, inna śmierć młodego, któremu życie ze wszystkimi, aczkolwiek złudnemi, ponętami się uśmiecha. Podkomorzyna była zbyt młodą, zbyt szczęśliwą, zbyt kochaną, dodajmy do tego, zamało religijną, aby spokojnie na skon oczekiwać mała; to też skoro tylko ujrzała wchodzącego męża, dobywszy się ostatnich, rzuciła mu się na szyję i konwulsyjnym ruchem objęła go rękoma, wołając:

— Stanisławie, ja umieram! Ratuj mnie, a przynajmniej nie opuszczaj do ostatniej chwili!

— Ależ moja Zosiu, odrzekł mąż, zaledwo zdolałszy ukryć rozrzewnienie swoje, z kąd te obawy? Wszak słyszałaś co mówili dziś z rana doktorzy.

— Doktorzy, zawoła chora z gorzkim uśmiechem, oni nie wiedzą jaki ogień moje piersi pali, co za gwałtowne bóle ściskają moje gardło. Doktorzy, powtórzyła raz jeszcze, oni przeciw śmierci nie mają środka. Albo się na chorobie nie znają, albo znając ją, prawdę, okropną dla nas obojga prawdę, przed nami ukrywają. Ja czuję, Stanisławie, dodała spokojniej, że godziny moje są policzone. Jakże to strasznie umierać tak młodo, od męża, od dziecka! Boże litości! wołała rozpaczliwie, składając ręce, jeśli taka wola Twoja, ześlij na ciało jeszcze sroższe katusze, ale dozwól mi przynajmniej tę dziecięcą odchowac. Myśl ta okropna, że inna kobieta, może nieprzyjaciółka, pastwić się będzie nad sierotą, do szaleństwa mnie przywodzi!

— Inna, jakaż inna? zawołał żywo Stanisław. Żadnej innej tu nie będzie...

— Nie będzie? gorączkowo pytała chora. I ty prawdę mówisz, Stanisławie? Niech ci Bóg za te słowa stokrotnie nagrodi, bo... tugałtowny napad kaszlu przerwał dalszą mowę i z wysilenia objawił się krwotok, zwiastun śmierci, którego oddawna lekarze się lekali.

Po kilku minutach Zofia konała na rękach męża, ostatnie swe spojrzenia przenosząc to na małżonka, to na stojącą u łóżka kolébkę, jakby błagając, aby Stanisław obietnicy swój dotrzymał. W końcu zwiła bezwładnie głowę na ramieniu męża, a pełna uroczystości i grozy cisza jaka zaległa pokój, dała mu poznać, że już dla niej na tej ziemi wszystko skończone.

Długi czas nie wierzył tym oznakom śmierci, długo jeszcze przytulał, pieścił, rozgrzewał swym oddechem kostniejące ciało; ale obcy, chłodniejsi w tej sprawie ludzie przypomnieli mu nakoniec, że wszystko tu skończone, że obsługa dalsza około zwłok zmarłej do nich należy, i wyprowadzili onemialego z rozpaczny wdowca do innych pokoi.

III.

Wiemy że ogół czytelników przekłada uśmiech wesołości, nad płacz i smutki. Minęły czasy tkliwo-sentymentalnych utworów, i wątpię aby się kto dziś znalazł taki, coby chciał wraz z Youngiem płakać przez kilkanaście nocy spędzonych na cmentarzu. Dlatego też opisywać szczegółowo rozpacz biędnego podkomorzego nie myślę; powiemy tylko, iż była ona nieudana, ale, jak wszystko co ludzkie, znikoma, wiotka, bez samopoznania.

W chwili którą opisujemy, osierocony małżonek przekonany był że życie bez zmarłej będzie dla niego nieznośnym ciężarem i pragnął dobrodusznym połączyć się z nią jaknajrychlej, a gdyby kto się był odważył powiedzieć mu że ten żal, ta boleść przemiana, dotkliwie byłby go uraził; bo jak wszyscy w podobnym wypadku ludzie, i nasz pan Stanisław zapomniał o wszechwładnej potędze czasu. Po kilku chwilach, przebytych w własnym gabinecie, podkomorzy znowu wrócił do pokoju nieboszczki, gdzie trafił na przykrą scenę obmywania zwłok zmarłej przez obce, najemne ręce. Nachmurzył czoło na ten widok, zgrzytnął zębami, siadł do stolika, skréślił słów kilka na papierze, zapieczętował, oddał służącemu, a zaleciwszy pośpiech, rozkazał odnieść list do jednego z najślawniejszych w owym czasie lekarzy, do doktora B*.

Po przyjeździe lekarza, domownicy, a zapewne i sam eskulap, byli przekonani że podkomorzy zalci nabalsamowanie ciała pięknej Zofii; ale ten, oddaliwszy

całą służbę, wprowadził doktora B* do swego gabinetu, a drzwi starannie zamknawszy, odezwał się do niego w te słowa:

— O ile pamiętam, wyście podróżowali, młodym będąc, po Indjach zachodnich.

— Tak jest, odpowiedział krótko zapytany, nieco zdziwiony że o czém inném może być mowa, jak o śmierci podkomorzyny.

— Czy w podróżach tych, pytał dalej Stanisław, nie mieliście sposobności widzieć jak dzicy Indyanie skalpują swoich jeńców wojennych?

— Skalpowanych trupów widziałem, odrzekł doktor, ale skalpowania czyli obdzierania czaszki żyjącym widzieć nie mogłem, bo byłbym na to nigdy nie pozwolił.

Podkomorzy zmarszczył brwi na te słowa lekarza, poczem zaczął chodzić gwałtownymi krokami po pokoju i znowu, przystępując do niego, zapytał:

— Czy skalpowanie to operacja trudna i bolesna, doktorze?

— Ani trudna, ani zbyt bolesna, chociaż śmierć niezawodną sprowadza, odparł lekarz coraz bardziej zdziwiony, bystro Stanisławowi spoglądając w oczy, a schwyciwszy go z nienacka za puls, dodał: Ale daruj pan że zapytam, co to wszystko ma wspólnego ze stratą którą przed godziną poniosłeś, a którą my, ludzie nauki, od kilku miesięcy niestety przewidywaliśmy?

— Doktorze, rzekł Stanisław ponurym głosem, mam cię prosić o jedną łaskę. Chciałbym... jako pamiątkę po mojej biędnej Zosi, zachować w całości warkocz przepysznych jej popielatych włosów i dlatego pragnę abys jej odjął skórę czaszkową ze wszystkimi włosami.

B*, który już pewno kilkaset ciał po różnych amfiteatrach Europy pod swym nożem rozbięrał, cęfnął się przed dziwacznością tej myśli, a nie wiedząc jak się wymówić, zaczął coś przebąkiwać, że nawet prawo na ten rodzaj profanacji ciała zmarłych nie pozwala.

— Prawo, odezwał się z ironicznym uśmiechem podkomorzy i rzucił na stół ciężką, ładowną złotem kiesę, a jednocześnie otworzywszy drzwi do sypialni żony, porwał za stojący kandelabr o kilku jarzących świecach i skinął aby doktor szedł za nim.

— Ha, pomyślał sobie uczonego lekarz, myśl szczególna, dzika, conajmniej oryginalna i nowa, ale kiedy za nią tak sownie płaci, dlategoż nie dogodzić pańskiej fantazyi.

I nie robiąc już dalej żadnych uwag, wzięwszy potrzebne narzędzia, udał się za Stanisławem.

Malarz przyzwyczajony odtwarzać okropności poematu Dantego, nie byłby pogardził sceną jaka przedstawiała się w sypialni podkomorzego. Ta głowa zmarłej, pełna wyrazu, jeszcze nie naruszona szpetnością właściwą śmierci, podtrzymywana rękami zbolalego małżonka, ten obojętny i zimny na wszystko chirurg, z zakasaniem po łokieć rękawami, szybko a zręcznie płątający czaszkę, cisza towarzysząca tej tajemniczej robocie — wszystko to przenosiło widza w krainę fantazyi, mar, widziadeł, w dziedzinę istot niezemskich.

W kilka minut potem umiejętnie zdjęta skóra czaszkowa nadobnej niegdyś podkomorzyny była już w ręku doktora, który starannie ją zawiąawszy, zawiózł do mieszkanka swego, aby stosownymi preparatami od zepsucia ubezpieczyć. I wistocie, musiał się on znać na swojej sztuce, gdyż w miesiąc później poufali domu pana Stanisława ujrzeni ów pyszny warkocz popielatych włosów, podziwiany nieraz w najpiękniejszych salonach Warszawy, zawieszony w sypialni nieutulonego w żalu małżonka, nad kotarą jego łóżka, i to w taki sposób, że w każdej chwili mógł pieścić się jego włosami, napawać ich widokiem, barwą, połyskiem, rzeczywiście cudownymi i niezrównanymi.

Całą też pociechę biędnego Stanisława stanowiły tylko te chwile, kiedy mógł do serca przycisnąć pozostałą sierotkę, albo gdy sam, zamknięty w swjej sypialni, drogą resztki zmarłej obmywał łzami.

Wszyscy co się dowiedzieli o tym sposobie życia młodego wdowca, szczególnie kobiety, nie mogły się wstrzymać od uwielbień i okrzyków: Jakże to szczytne! jak bardzo on kochał nieboszczkę żonę!

Jedna tylko stara Marcinowa, kluczniczka, nie dzieliła tego ogólnego zdania, owszem, ile razy jej kumoszki o tém wspominały, potrzasała smutno głową.

— To miłość jakaś pogańska, mawiała, to nie po chrześcijaństwu dla swojej fantazyi naruszać pokój umarłych. Boję się, czy wkrótce nie będziemy mieli nowej pani w domu, a moja droga panienska czy nie dostanie się w ręce macochy.

Iży gorzkie zalęwały pooraną marszczkami twarz starej sługi.

III.

Natura, czy to w dziedzinie materyjalnej, czy w moralnej, miłuje się w sprzecznościach, bawi w tworzenie cudów niespodzianych. Bujne i pachnące kwiaty przekształca w zgniliznę, węgle krystalizuje w świetne dyamenty, życie w śmierć, śmierć w życie przemienia, i objawy te codzienne, cochwilowe, właściwe życie stanowią.

Niktby się z czytelników nie domyślił, że właśnie owa pogańska, bałwochwalcza cześć dla warkocza żony stała się przyczyną, że podkomorzy wcześniej i prędzej aniżeli się spodziewać należało o swjej zmarłej żonie i obowiązkach dla biędnej dzieciny zapomniał. Bez tej ekscentryczności w żalu, mało kto byłby o nim wspominał, bo świat tak łatwo o nieobecnym zapomina. Usunawszy się na wieś, oddawszy gospodarstwu, wychowaniu córki, byłby pomału przywykł do nowego trybu życia i niepostrzeżenie zszedł z widowni tego, co przywykliśmy, nie wiem daczego, nazywać światem.

Ale jakże świat modny, świat płochy, świat zabaw, uciechy, zawsze żądny nowości, tajemnicy, nadzwyczajności, mógł na chwilę pozostawić w spokoju zapomnienia małżonka, który własną żonę skalpować kazał i włosy jej nad kotarą łóżka swego zawiesił? Ozdarszeniu tém mówiono i w komnatach królewskiego zamku, i po pałacach, i po dworach. O tym warkoczku rozmawiały i najpiękniejsze panie stolicy, i siedzące za straganem jejmoście, ba, nawet po kościołach dewotki nie wahały się zajmować tak nadzwyczajnym przedmiotem.

Naturalnie, że każda z osób opowiadających musiała coś dodać, z czego wyrosły baśnie śmieszniejsze jedne od drugich. Mówiono np. że u pana podkomorzego pokoje całe czarno wybite, haftowane w trupie głowy; że ciągle się w nich pali po sto świec żałobnych; dodawano pocichu, że zakochany mąż podobno i serce z Zofii wyjąć kazał, następnie spalił i popioły z winem zmieszane wypił, i tym podobnych rzeczy wiele. Słowem niechcący pan Stanisław więcej zrobił, aniżeli Alcybiades, kiedy psu swemu ogon dla rozgłosu uciął, bo długi czas o niczem nie rozmawiano, tylko o nim i o jego miłości.

Cóż z tego wynikło? Rzecz bardzo prosta: stał się ideałem dla wielu kobiet, przedmiotem ciekawości, który miłoby było widzieć u stóp swoich, przykuty do rydwanu zwyciężki piękności.

Do osób co zapragnęły hołdów od młodego wdowca, na jego nieszczęście należała i panna kasztelanika P*, nosząca romantyczne imię Heloizy, kobieta wyniosła, dumna, rzadkiej energii ducha i ciała, wytrwałej woli, nie rachująca się nigdy z przeszkodami jakie jej planom zawadzały. Pożądać, chcieć i mieć — były to dla niej wyrazy blisko, jeżeli nie jednoznaczne.

Z tym charakterem osoba, pokochawszy się w podkomorzym i zapragnawszy go mieć dozgonnym sługą swoim, musiała szybko dążyć do zamierzonego celu, szczególnie gdy wszystko zdawało się związkowi temu sprzyjać, bo panna Heloiza była dziedziczką wielkiego imienia i obszernych włości, a lubo już niemłoda na pannę, bo około lat trzydziestu liczyła, urodą nadzwyczaj przypominała zmarłą Zofią. Wprawdzie Heloizy postawa była wynioślejszą, rysy ostrzejsze i wydatniejsze niż u tamtej, całe przytęm obęście surowsze i ruchy energiczniejsze; ale rzadkiej piękności i delikatności pięci, kolor włosów zupełnie podobny do koloru słynnego warkocza, aszczególniej górujący nad te wszystkie zalety dowcip i rozum, czyniły ją na pierwszy rzut oka nawet efektowniejszą i powabniejszą, aniżeli nigdy nieodżałowaną małżonkę podkomorzego.

Przy takim zbiegu sprzyjających okoliczności, nikt się nie zdziwi, iż zaledwie po określonym konwenan-

sami wielkiego świata czasie żałoby, pan Stanisław powtórnie stanął na ślubnym kobiercu i połączony został nowymi węzłami z bogatą, rozumną i piękną kasztelańką.

Jedyny skrupuł jaki wicherzył sumieniem nowoożenionego, to jest obawa o los pozostałej sierotki, wkrótce usunięty został postępowaniem przybranej matki względem pasierbicy, bo pani Heloiza, jako dobrze wychowana pani, otoczyła ją jaknajtroskliwszą opieką, sama starannie dobierając bony zagraniczne i piastunki którym powierzyła jej wychowanie. Wyglądało to trochę zimno, obojętnie, ale któż kiedy dziecku matkę zastąpił? Było więc wogóle znosnie, a tyle tylko potrzebował pan Stanisław, aby uspokoić wyrzuty sumienia i nazwać się najszczęśliwszym z ludzi, u stóp swego, jak ją nazywał, anioła-pocieszyciela.

IV.

Tym sposobem podkomorstwo przebyli lat kilka, wyłącznie sobie oddani. Przez ten czas córeczka Zofii podrosła, pani Heloiza się podstarzała, a pan Stanisław podtusiał. O biednej zmarłej, o warkoczu, już i mowy nie było. Wprawdzie pierwszych dni po ślubie Heloiza, ciekawa jak każda córka Ewy, chciała go koniecznie zobaczyć, ale Stanisław, tknięty uczuciem przyzwoitości, jaknajuroczyściej zapewnił ją, że to były tylko plotki kobięce, że nigdy żony swój pierwszej nie skalpował, na poparcie zaś swych wyrazów warkocz ów tak gdzieś schował, że podkomorzyna, lubo od wszystkiego w domu niebawem po ślubie zagarnęła klucze, nigdzie wynależć go nie mogła.

W szóstym roku dopiero pożycia, małżeństwo to pobłogosławionem zostało urodzeniem się długo oczekiwanego syna, a po słabości pani Heloiza wpadła w ciężką, długotrwałą niemoc, skutkiem której postradała znaczną część włosów.

Właśnie tego roku karnawał był bardzo ożywiony w Warszawie. O niczem nie mówiono wśród tego ruchu i gwaru, jak o balu co miał być wyprawiony w ostatki u pani Krakowskiej, siostry króla Stanisława pierwszy raz po odbyciu żałoby tu przybyłej ze zwykłej swój rezydencji Białegostoku, małym Wersalem przez pochlebców zwaną.

Ruch po sklepach, u modniarek i fryzjerów panował niesłychany. Heloiza, którą, jak mówiliśmy, choroba pozbawiła najpiękniejszej ozdoby kobiety, była w rozpacz, bo żaden z artystów sztuki piętrzenia włosów, nie mógł dobrać peruki do koloru jej warkocza, koloru dziwnie pięknego, ale niezmiernie rzadkiego. Przerzuciwszy magazyny Brawackiego, Makrota, Szmida, nic godnego siebie nie znalazła. Pisała nawet o to do Leonarda, nadwornego fryzjera królowej Maryi Antoniny w Paryżu, ale i ten odpowiedział, że na zawołanie gotowych peruk tej barwy, tego połysku nie ma, lecz o takowe dopiero postarać się musi.

Jak widziemy z bliższych wyjaśnień, było czego rozpaczać. Dzień balu się zbliżał, a zamówione peruki nie nadchodziły; o pokazaniu się zaś w świecie z przerzedzonymi przez słabość włosami, czyliż nawet myśleć było można?

W tym kłopotcie przypadek posłużył wybornie pani podkomorzynie. Szukając czegoś w kantorku mężowskim, bezwiednie trąciła o sprężynę jakiejś kryjówki, ta niespodzianie się otworzyła i popielaty warkocz Zofii wyleciał na ziemię. Każda inna w jej położeniu byłaby się wdrygnęła na widok tej pamiątki dawnej miłości męża, i pewno ręka jej zdrząłaby, podnosząc tę relikwią poprzedniczki. Ale mówiliśmy już dawniej, że Heloiza była kobietą niezwykłego hartu duszy, a przytém niesłuchanie praktyczną, tak jakby miała zaszczyt żyć w wieku XIX.

Podkomorzyna zatem w tym wypadku dopatrzyła wyraźne zrzęczenie Opatrzności, która przez znalezienie popielatego warkocza, umożliwiła jej bytność na balu siostry królewskiej, dotychczas, dla braku peruki szukanego koloru, nader wątpliwą, i postanowiła szczęśliwe to zdarzenie obrócić na własną korzyść. Słowa więc nie mówiąc nikomu, schowawszy swą zdobycz starannie przed oczami ciekawych domowników, siadła do karęty, kazała się zawieźć do Brawackiego, nadwornego mistrza sztuki perukarskiej, i zleciła mu wykonanie ozdób głowy, jakie ówczesna moda elegantkom wielkiego świata nosić na-

kazywała. Brawacki stawił się na daném słowie, a w wigilię balu zapowiedzianego pyszna fryzura piętrzyła swe niezliczone, sztucznie trefione loki na toalecie uradowanej podkomorzyny.

Ale Bóg rządzi, a człowiek tylko sędzi. Heloiza, spoglądając na kunsztownie wykonaną perukę, już się widziała w salonach pani Krakowskiej, otoczoną gronem wielbicieli, kiedy los inaczej zupełnie zrzędził...

Wnocy coś ją nagle obudziło, i długo potem oka zamknąć nie mogła. W tej bezsenności gorączkowej wydawało jej się, że widzi jak się peruka z włosów biednej Zofii rusza na toalecie. Potém widzenie to przybrało inne kształty: usłyszała jakby wyraźne kroki i stanęła nad jej łóżkiem blada, wychudła postać zmarłej podkomorzyny. Prerażona, struchlała od bojaźni, Heloiza, która nieboszczki wcale nie znała, usłyszała jak cichym i stłumionym głosem wołała do niej: „Oddaj mi moje włosy!“ przyciemniła końce palców widziadła, przemienione w ostre szpony, zagłębiały się w jej czaszce. Pomimo że pani Heloiza należała do odważnych, uczucie bólu pozbawiło ją przytomności: padła bez zmysłów i przeleżała tak do rana.

Nazajutrz przyszedł doktor B*, przywołany przez zaniepokojonego małżonka. Po bliższym zbadaniu symptomatów choroby, oświadczył, iż to jest mocna ospa, której oddziaływanie zawładnęło mózgiem. Przy wielkich staraniach lekarzy i męża, po kilkunastu tygodniach, podkomorzyna wyszła z tej niebezpiecznej choroby, ale zmieniona, zeszepecona do nie poznania, nawet dla samej siebie.

Od tego czasu zmieniła zupełnie sposób życia. Dotknięta boleśnie tym wypadkiem, nie zachowawszy nic z dawnych wdzięków, wyniosła się na wieś i oddała duszą i ciałem gospodarskim zajęciom.

Po kilku dopiero latach wypadło jej znowu być w Warszawie, i aby pokazać rodzinie swoją pasierbicę, wzięła ją z sobą w tę podróż. Za przybyciem do miasta poczęto myśleć o strojach. Niedorzeczna moda piętrzonych wysoko fryzur trwała jeszcze w całej swój mocy, a że młoda panienka dosyć obfitych włosów nie miała, kolor zaś ich zupełnie był podobny do koloru warkocza matki, postanowiono użytkować odszukaną gdzieś w szafach nieszczęsną perukę.

Nie potrzebujemy dodawać, że tak pasierbica jak i domownicy nic nie wiedzieli o pochodzeniu prawdziwym tego utworu fryzjerskiej sztuki; sądzono owszem powszechnie, że to były włosy przysłane przez Leonarda z Paryża, a tylko przeczesane i ułożone na miejscu, bo podkomorzyna, wstydząc się swego czynu, tak przed wszystkimi, nawet przed mężem swoim, rozpowiadała.

Tymczasem, jak zapewnia kronika rodzinna, za ledwo pasierbica pani Heloizy włożyła tę ozdobę na swą ładną główkę, poczęła narzekać na jej ciężar i jakieś nie do zniesienia ciśnienie. Macocha, biorąc to za kaprys, pomimo tych uzaleń, rozkazała jej pojechać z sobą na wieczer; ale przez cały czas znajdowania się na nim, panienka widocznie czuła się niedobrze, tak iż nawet wcześniej z zabawy wyjechać musiano. W nocy zdeklarowała się gorączka. Choręj wciąż się wydawało, że nad nią staje jakaś kobieta w bieli i rwie ją za włosy. Przybyły nad ranem lekarz, dostrzegł znowu oznaki ospy, a zdziwiony podobieństwem symptomatów do tych jakie dawniej w słabości pani domu zauważył, zasięgnął bliższych wyjaśnień, skutkiem których polecił, aby fatalną perukę rzucono w ogień.

Taki był koniec pięknej ozdoby głowy nadobnej Zofii. Historia ta bawiła przez jakiś tydzień próżniaczą gawiedź Warszawy, a dla nas ona o tyle ma tylko znaczenia, że nam przypomina święty obowiązek... szanowania „spokoju zmarłych“.

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Redakcja Tygodnika Ilustrowanego otrzymała od p. L. K. rs. 4 kop 50, jako zawiązek funduszu na założenie drugiej kuchni tanięj.

Autorom i autorkom wierszy p. t. „Do naszej gwiazdki“, „Noc i jej tajemnica“, „Walc“, i „Trzy zwrotki“ donosimy, że utwory ich drukowane nie będą.

Panu X. z pod Łowicza. Wykopalisko laskawie nam udzieliłone, zdaniem archeologów, mało jest ciekawe, reprodukować go więc nie będziemy.

Panu A. O. w Warszawie. Honorarium za artykuły pańskie wręczyliśmy podług wskazania.

NA WIDOK PORTRETÓW

Brandta i Gryglewskiego.

Patrzę w oblicza tych obu braci
Jednego ducha, ziemi, oręza,
I pytam siebie: który z nich traci?
Który wyrazem brata zwycięża?
Czy ten, którego twarz tak spokojna,
Zdaje się drugich i siebie pewny?
Czy ten, któremu wewnętrzna wojna
Nadała wyraz smutny czy gniewny?

Ach, bo on walczył z światem i z sobą,
Wątpił — więc jego twarz niewesoła,
Świat się nie zgodził z jego żalobą,
Więc pod sklepienie skrył się kościoła.
Tam duch mu rośnie silnie, swobodnie,
On w obec Boga cierpi i marzy,
I aby natchnień swych użyć godnie,
Wdzięcznie je złożył u stóp ołtarzy.

A ty znów, dziecko szczęścia, spokoju,
Ty nie znasz co to żal i rozpacz,
Twój umysł rąco rwał się do boju,
Twa muza śmiało na konia skacze,
A w piersiach twoich tyle oddechu,
Że gdy tchniesz ledwie — wszyst ko już żyje
Na twojem płótnie — wszystko w pośpiechu
Leci ku bitwie — powietrze pije —
Luzak umyka — wozy się toczą —
I tylko czekam kiedy i drudzy,
Ów wódz na wzgórzu i jego słudzy,
Kiedy i oni za nimi skoczą!

I ty i twoja praca tchnie wiosną,
Choć swą dojrzałość dało ci lato;
Dzieła twe kwitną razem i rosną,
Z rąk twych jak jesień znikają zato,
Jak kłos pod sierpem pada żniwiarza.
Ledwie zrodzone dziecię malarza
Już ktoś uchwycił porwał w objęcia
I w kraj daleki z sobą unosi,
I tylko sława, co o nim głosi,
Jest jakby głosem jego dziecięcia.

Kiedy poeta tworzy, a dusza
Nieraz uczucia do dna wylęwa,
Myślimi lata po całym świecie —
Kiedy mistrz-muzyk tworzy i śpiewa,
To zdrój się natchnień w nim nie wysusza,
Bo zawsze z ojcem zostaje dziecię.
Więc wy szczęśliwi, mistrze, poeci,
Bo praca wasza i kraj z bogaca
I ptakiem od was chociaż odleci,
To nieraz chórem do was powraca.

Malarz swe dzieło kiedy utwarza,
To i krew swoją do farb dołęwa,
Ideał ciałem swoim odziewa,
By dzieło żyło — sam się umarza.
Bo im piękniejsze są jego dzieci,
Tém prędzej świat je zabiera.
Cóż mu pomoże ta kupa złota,
Cóż mu ta gwiazda sławy oświeci,
Gdy jak bezdzielny wdowiec, sierota,
Nieraz samotny umiera!?

Gabryela Puzynina.

Kronika zagraniczna,

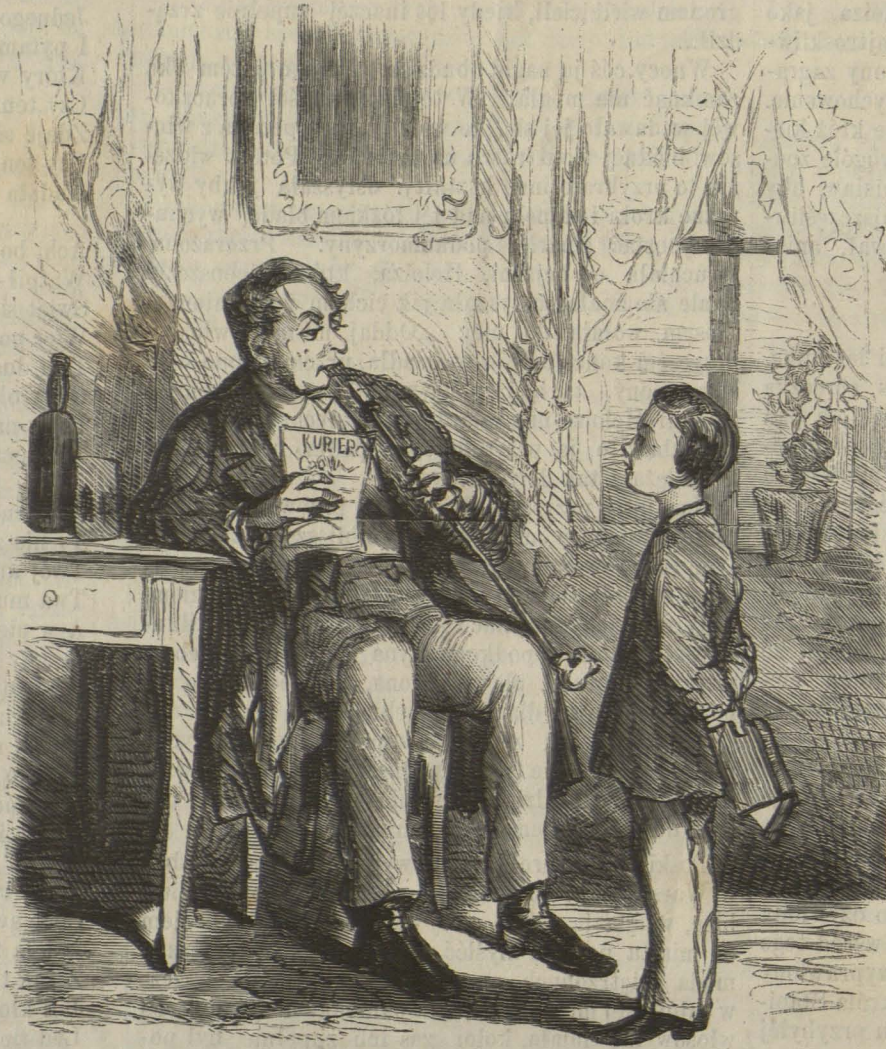
przez
J. I. Kraszewskiego.

Thackeray'a „Listy o pogrzebie Napoleona I.“

Odczyty Thackeray'a „O czterech Jerzych,“ z których daliśmy wyjątki w ostatniej naszej kronice, obudziły wielkie zajęcie we Francji; żałujemy żeśmy tę piękną całość obciąć musieli i tak ułamkowo

RYSONKI HUMORYSTYCZNE

Franciszka Kostrzewskiego.



Papa uczony.

— Proszę papy, kto to był Diogenes?
— Diogenes?... Diogenes?... Głupiś!.. jeszcześ zamały ...abyś mógł wiedzieć o podobnych rzeczach...

przedstawili. Przypomnienie pisarza, wydobyło teraz na jaw nową jego, mało lub wcale nieznaną korespondencją „O pogrzebie Napoleona I.“ Trzy te listy, w których właściwa powieściopisarzowi humorystyka, dziwnie od poważnego ich przedmiotu odbija, są pełne wdzięku. Znać w nich człowieka, wprawdzie rozczarowanego nieco, niedającego się wziąć na lep słów szumno brzmiących, usposobionego do chłodnego zapatrywania się na sprawy ludzkie i szukania w nich strony niemal komicznej — ale w głębi duszy szanującego wszystko co poszanowania godne.

Jednym z epizodów panowania Ludwika Filipa, wielce charakterystycznych, jest ten uroczysty pogrzeb Napoleona, który w myśli Orleanów, miał pogrześć razem napoleońską ideę, spychając ją do Inwalidów. Wypowiadano tym uznaniem sławy bohatera, iż się go już lękać przestano, i że Orleanowie nie obawiali się uroku przywiązanego do imienia, które, według nich, spadkobierców mieć nie mogło, bo było zjawiskiem wyjątkowym. Thackeray opisuje z humorem wielki ów dzień pogrzebu w Paryżu, ale rozpoczynając *ab ovo*, od dyplomatycznych pertraktacji o wydanie ciała, od podróży ks. de Joinville i zdobycia zwłok na św. Helenie.

Myśl pierwsza żądania od Anglii, aby prochy wielkiego człowieka wydała Francji, zrodziła się pono w umyśle Guizot'a, naówczas posła w Anglii. Ludwik Filip i pan Thiers historyk cesarstwa uznali ją za bardzo szczęśliwą, lord Palmerston za możliwą do wykonania. Pierwsza wieść o tym we Francji obudziła mnóstwo projektów i pomysłów do grobowca. Niektórzy wnosili, aby zwłoki pogrzebione zostały pod kolumną Vendôme, ale sklepienie pod nią wydało się zaszczuple, plac nadto wrzawliwy na miejsce wiekiwego spoczynku. Drudzy chcieli poświęcić na ten cel kościół św. Magdaleny; aż wreszcie zgodzono się na kopułę Inwalidów. Fregata *La belle Poule* z ks. Joinville wypłynęła po zwłoki dnia 7 lipca 1840 roku; podróż jej trwała przeszło dwa miesiące.

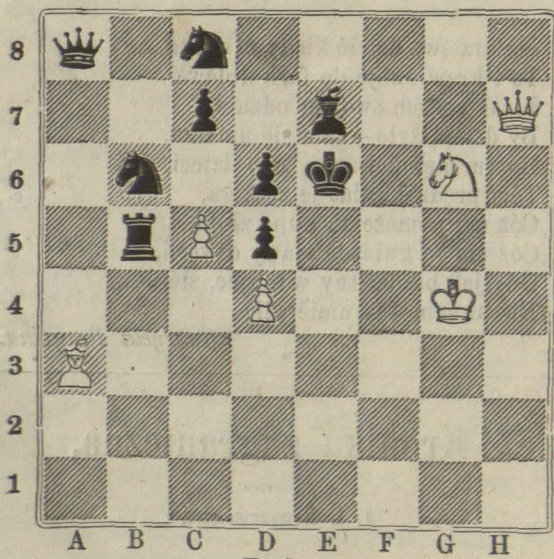
Z powodu wyspy św. Heleny Thackeray cytuje

Szachy.

ZADANIE XXI.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 40.

Białe.

Czarne.

- 1) D6—B5 1) C1—B3 (koniecznie.)
- 2) D5—D6 2) D3—C4 biorą.
- 3) D1—E2 + i mat.

ciekawe szczegóły. Gdy Napoleon projektował najazd na Anglię w r. 1802 i zajęcie jej, w planie było ażeby część floty francuskiej, płynąc ku Indyom, zajęła w posiadanie św. Helenę. Drugie wspomnienie tej wyspy znalezione w studenckich seksternach późniejszego cesarza Napoleona, w czasie gdy był jeszcze w Brienne. Dziwnym trafem geografia pisana jego ręką, niedokończona, urywa się na tych wyrazach: „*Sw. Helena, mała wyspa*“.... Przywodzi jeszcze autor z Rousseau *Contrat Social*, te słowa jego o Korsyce: „Mam to przecucie, że kiedyś mała ta wyspka wprawi w podziw Europe.“

Nie będziemy powtarzali szczegółów poprzedzających odkrycie zwłok Napoleona. Zwłoki te spoczywały w grobie który nocą otworzono, złożone w trzech trumnach, kamienną, kruszcowej i drewnianą. Wszystkie znalezione zachowaniami doskonale. Wewnątrz ostatnia obita była atlasem białym, który się oderwał i pokrył zwłoki. Gdy podjęto tę całunową zasłonę, ukazało się ciało doskonale zachowane, rysy twarzy wyraźne, niezmienione, ręce nawet nadzwyczaj piękne, miały kształt cały jak za życia. Mundur zciemniał, ale barwy jego można było rozpoznać jeszcze. Dawni towarzysze Napoleona, generałowie Bertrand, Gourgaud, Las Cases, głęboko byli wzruszeni tym widokiem. Z wielką uroczystością, przy biciu z dział, przeniesiono drogocenne reszty bohatera na statek.

W czasie pobytu Francuzów wna wyspie, pomiędzy nimi a Anglikami panowała zgoda jaknajprzykładniejsza. Książę de Joinville starał się nawet nieco dziwnym wymaganiom miejscowej ludności uczynić zadość. Żołnierz stary, który grobowca pilnował, został pensjonowany; zagodzono także pretensje oberżystki, która dopominała się o wynagrodzenie, z powodu że gospoda jej miewała licznych gości zwiędzają-

cych grób, a teraz skazaną była na opustoszenie. *Mistres Corbett* zaspokojono zapewne datkiem.

Zaledwie fregata unosząca zwłoki, odplynęła na pełne morze, gdy spotkany w drodze okręt przyniósł jej zatrważającą wieść o wynikłych nieporozumieniach między Francją a Anglią, z powodu sprawy wsehodniej. Książę de Joinville i załoga statku, lękając się być napastowanymi, przygotowali się do rozpaczliwej obrony. Wyrzucono część zbytkownych sprzętów, urządzono działa i przybory wojenne, a książę Joinville ofiarował się raczej sam ze statkiem zatopić, niż wydać Anglikom zwłoki. Cały ten postrach wszakże i przygotowania szczęściem okazały się próżnemi: fregata zawinęła szczęśliwie do portu.

W Paryżu z ogromnym kosztem sposobiono się na przyjęcie. „Na dziesięć dni przed przybyciem zwłok, pisze autor, gdybyś przechodziła przez most de la Concorde, albo przez plac Inwalidów, zobaczyłabyś na moście osiem, na placu dwadzieścia i dwie tajemniczych szopek, w których kilkudziesięciu rzeźbiarzy nocą i dniem pracowało. Wśród alei do Inwalidów wiodącej, stał niegdyś rodzaj pompy, a raczej ubożego wodotrysku, ponad którym wznosiło się popiersie Lafayetta, uwieńczone zwiędłymi nieśmiertelnikami i zdające się skromnie spoglądać na chudy strumyczek wody, który z pod niego płynął. Popiersie i wodotrysk znikły, aby nie zawadzać orszakowi, który ma tędy przechodzić.

„Dziwny zbieg okoliczności! Gdybym był Wiktorem Hugo, moja droga, albo utalentowanym poetą, byłbym w kilka godzin zmógł się na improwizacją o tym popiersiu Lafayetta, zarzuconem na strych i ustępującem tryumfującemu spóźzawodnikowi... jak przed pięćdziesięciu laty.

„Przygotowaniom na polach Elizejskich, myślałem że nigdy nie będzie końca. Pierwszego dnia postawiono z obu stron pomiędzy latarniami gazowymi około stu ruszto- wań; nazajutrz na miejscu ich wzniesiono tyleż mu- (Ob. dodatek.)

Rebus.

aa ii



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 51.

Na kominku ogień płonie,
A dziewczyna w myślach tonie:
Gdybym w sercu zar ten miała,
Wtedy młodzieży szalała.

(Dodatek.)

rowanych podstaw, a na nich umieszczono urny i posągi, nadając im barwę marmurową. Urny zawierały kadzidła i wonności, które spalić miano na cześć zmarłego.

„W pewnych przestankach wzniesiono także białe kolumny wzdłuż alei, a na nich były tarcze brązowe z napisami, przypominającymi główne zwycięstwa cesarza. Ogromne chorągwie przyozdabiały je; u góry orły złote z rozpostartymi skrzydłami. Dzienniki podnosiły pełne znaczenia ich umieszczenie; orły po prawej stronie drogi patrzyły w kierunku z którego miał orszak nadchodzić, orły z lewej gonity oczyma po przejściu. Nie sądziłbym sobie żartował: wszędzie po drodze któregoś przechodził orszak, brzegi Sekwany napelniały się tłumami, o mil kilka zbiegającymi się dla oglądania trumny i pomodlenia się za ukochanego bohatera. Niech mnie Bóg broni, dodaje piszący, ażebym śmiało sztych z tej żałoby, z tych modłów i posądzać szczerze tych uczuć. Musiało w tym człowieku być coś wielkiego i szlachetnego, coś wspaniałego i serdecznego razem, gdy wspomnienie jego tak jest ludowi drogiem, a imię otacza poszanowanie tak trwałe, miłość tak niewygasła.“

Thackeray nie przypuszcza, aby, wedle życzenia Thiersa, możliwym było wspanialsze, kosztowniejsze urządzenie tego pośmiertnego tryumfu, (coś w rodzaju apoteozy Aureliana), ale wyznaje, że to co zrobiono, było dosyć złego smaku, bijące w oczy, a wistocie ubogie. W przeciągu trzech dni posągi owe nad drogą pękały już od mrozu i rozsypywały się w gruzy.

Właściwie list trzeci jest najbardziej zajmującym, najcharakterystyczniejszym. „Mamże ci się przyznać, droga moja, że gdy Franciszka przyszła mnie bardzo rano zbudzić, w tym dniu wiekście pamiętnym, gdy gwiazdy błyszczące jeszcze na niebiosach świeciły nad głowami naszymi i przejmujący mróz na niebie pogodnym uwydatniał księżyc ostry jak brzytwa, gdy wiatr północny przeszywał ciało i chwycił za nogi, ilekroć się je wystawiało z łóżka, — mamże ci się przyznać, że gdy Franciszka zawołała: „Oto kawa dla pana... proszę pić, póki gorąca,“ uczułem się, wypiszy ową kawę ze śmietanką, tak szczęśliwym pod trzema kołdrami, że przez dobry kwadrans nie można było zaręczyć, czy będę widział lub nie pogrzeb cesarza Napoleona.“

„Oprócz zimna, inny jeszcze powód wahać mi się kazał. Zechcą-li, czy nie, panowie Francuzi na cześć cieniom bohatera złożyć w ofierze kilku naszych ziemków? czy uroczystość nie skończy się rzezią? W dziennikach napomykano, że lord Grandville cyrkularzem ostrzegł Anglików bawiących w Paryżu, aby tego dnia siedzieli w domu. Francuzkie gazety ogłaszały tę nowinę i miłosieruie przepowiadały nam los który miał nas spotkać.“

Pomimo tego strachu, Thackeray wybiera się do kościoła Inwalidów.

„Gdyśmy wychodzili z domu, niebo i domy otaczające nas przybierać zaczynały barwę purpurową i jasny sierp księżyca widać było jeszcze, jakby z żalem usuwający się z horyzontu, właśnie w chwili gdy miał spojrzeć na wielką uroczystość.“

„Łuk tryumfalny malował się dobitnie w atmosferze jasnój, zimnej, przy wschodzącym słońcu, które go obléwało barwami szkarłatnymi. Posąg z masy papierowej malowanej, wczoraj niedokończony jeszcze, przedstawiał Napoleona z koroną na głowie, z berłem w rękę i silne robił wrażenie. Wielkie chorągwie powiewały w powietrzu, z wyszytymi na nich orłami i herbami cesarstwa, z wypisanymi zwycięstwami i bitwami. Długa ulica pół Elizejskich wysypana była piaskiem, dla dogodności orszaku, który miał tędy przechodzić. Tysiące ludu cisnęło się zewsząd, śmiejąc się, rozmawiając, śpiewając, rozprawiając żywo, wedle obyczaju tego szczęśliwego narodu francuzkiego. Nie wiem czy może być co zabawniejszego, nad widok tego ludu w dniu świątecznym, gdy wpadnie w dobry humor. Co się tyczy zdania dzienników opozycyjnych, które utrzymywały że w tym dniu tłum był poważniejszy i bardziej milczący niż zwykle, nie znałby Francji, kto by mógł temu uwierzyć.“

„Gdyśmy szli ulicą, po drodze spotykaliśmy wojsko różnej broni i municypalnych konno, w kaskach brązowych, długich butach, z minami marsowemi,

krzepko siedzących na tęgich koniach, wybór wojska, jak mi mówiono, któremu zleconém było utrzymanie porządku i spokoju w mieście, zadanie jeśli nie najgłówniejsze, to najużyteczniejsze z obowiązków żołnierza. Za tymi szli karabinierzy, potem piechota, złożona ze zwinnych chłopaków niewielkiego wzrostu, wesołych, z twarzami ogorzalemi; potem pułk inny, municypalni piesi, wzrostem przechodzący pułki liniowe, odznaczający się porządkiem i postawą szykowną. Co chwila nadbiegały szwadrony gwardyi narodowej konnej. Naszywane mundury, akselbanty, czapki z piórami trzykolorowemi, nadały im dość piękną powierzchowność; wyglądali dobrze i na tęgich żołnierzy. Ale co mnie najwięcej w nich dziwiło, równie jak w innych żołnierzach i piechocie, to cierpliwość z jaką znosili zimno przenikające, zimno prawdziwie północne. Chodzili swobodnie, nie drżąc, nie kuląc się, z najlepszym humorem w świecie. Adjutant jeden w białych spodniach przeszedł koło mnie. Kiedym patrzył na niego, dreszcze mnie porywały.“

Przeszedłszy część miasta śród tłumów ludu i wojska, Anglicy dostali się bocznymi drzwiami do hotelu Inwalidów, a ztamtąd do kaplicy.

„Kaplica jest obszerna, architektury dość pospolitej, mówi autor dalej, ale była przepysnie ozdobiona na tę uroczystość.“

„Przybyliśmy tu o godzinie dziewiętej; obrzęd nie mógł się rozpocząć prędzej jak o drugiej, mieliśmy więc całych pięć godzin do przypatrywania się swobodnego temu co nas otaczało. Kaplica u dołu aż po gzyms cała była pokryta fioletowo, od góry czarno. Na wszystkich słupach, po kątach, poumieszczano orły złote, pszczoły, wieńce laurowe, ogromne N i różne godła cesarstwa. Z boku, między zasklepieniami, odmalowano trofea z imionami głównych wodzów cesarstwa.“

„Zapalano powoli tysiące świec otaczających kaplicę, potem zasłoniono je draperjami, i słaby blask lamp tylko ją oświecał. W pośrodku, w miejscu ołtarza, wznosił się katafalk Napoleona. Cesarz był dnia tego bożyszczem... bóstwem, w które sceptycy wierzyć przestali, ale w które lud jeszcze wierzy.“

„Nie myślcie jednak żeby lud smętnie i poważnie oczekiwał na obchód żałobny. Wielkie natłoki nigdy nie mają tego charakteru. Gdzie ludzi wielu, powaga znika. Wszystkie tłumy muszą być do siebie podobne. W ostatnich latach byłem trzykrotnie wśród wielkich zbiegowisk ludowych: pierwszy raz na koronacji królowej, potem gdy wieszano Courvoisier'a i ot na tym pogrzebie. Zawsze lud zebrany na chwilę wydawał mi się raczej szyderskim, niż smutnym, starał się czas przepędzić jaknajweseliej. Może sekundę jaką w ciągu tych trzech chwil zdawał mi się wzruszonym, ale to trwało nader krótko.“

„Tymczasem kościół coraz się wypełniał. Przybyła deputacja radców stanu, w strojach szafirowych haftowanych niebiesko, adwokaci w togach i biretach, deputowani całym zgromadzeniem. Guizot stał pomiędzy ministrami, w paradnym stroju. Zobaczyłem Thiers'a także, małego człowieczka, z twarzą pełną, żywą, z włosami krótkim, siwiejącym. Służący wsunął fotel na kółkach. Siedział w nim waleczny Moncey, gubernator domu Inwalidów, który się wstawił obroną mężną Paryża w r. 1814. Był niebezpiecznie chory właśnie. W czasie choroby ciągle prosił lekarza: „Doktorze, staraj się bym dożył do 15-go. Umrę spokojny potem.“ Poczciwy stary! Jak nie wierzyć w szczerze tego uczucia?..“

„Po godzinie drugiej wystrzały z dział słyszeć się dały; komendant Inwalidów, gwardyi narodowej i tambur-mażor ogromny zaczęli sobie dawać znaki. Gwardya narołowa stanęła do szeregów, jak mogła i umiała. Komendanci wydali jakiś głos niezrozumiały dla mnie: Hrrum-hmpl... i natychmiast bagnety i szable inwalidów podniosły się do góry. Tambur-mażor dał znak, bębny uderzyły powoli, smutnie, uroczysto. Procesya księży ciągnęła od ołtarza. Za księżmi szło kilku biskupów, w fioletowych komzach, z krzyżami świecącymi na piersiach. Za nimi szło dwóch niosących ogromne świeczniki, ze świecami niemniej olbrzymiami. Jedna z tych świec paliła się bardzo pięknie, ale wiatr, wiejący szalenie, zdmuchnął drugą, która jednak miejsca swego w procesyi zajmować nie przestawała.“

Przykro mi było patrzeć na niosącego ją, który widocznie losem świecy i swoim był mocno upokorzony.

„Dalej szedł krucyfer, poprzedzający ks. Affre, arcybiskupa paryzkiego. Jego ekscelecyja ubrany był czarno z białym, oczy miał spuszczone, ręce na piersiach złożone, rękawiczki czarne, a na nich pierścień pasterski. Na głowie niósł mitrę. Stał tak chwilę przed nami z kilką księży... nie szli już dalej. Gwardya prezentowała broń, bębny biły, ale procesya się wstrzymała.“

„Mieliśmy jeszcze czekać półtoręj godziny, przysłuchując się biciu z dział w oddaleniu. Tłum każdy wystrzał witał okrzykiem takim, jaki towarzyszy puszczeniu rac na Vauxhallu.“

„Naostatek orszak przybył. Bębny znowu rozpoczęły werbel, a gwardya sprezentowała broń. Na chórze organowym Habeneck i muzyka rozpoczęła marsz żałobny; księża zatrzymali się, i przy dźwięku religijnych pieśni, wśród łoskotu kroków rozlegających się na marmurowych posadzkach, w orszaku generałów i wojskowych strojnych paradiuie, z ks. Joinville na czele, wśród wzruszenia powszechnego, wniesiono trumnę cesarską.“

„Trwało to chwilę. Ledwieśmy postrzedz mogli trumnę, ozdobioną koroną cesarską, niesioną z jednej strony przez majtków, z drugiej przez inwalidów. Księża rozpoczęli modlitwy, aleśmy ich nie dosłyszeli. Król Ludwik Filip, jak mówiono, stał przy katafalku, oczekując na ciało. Ks. Joinville zbliżył się do niego i rzekł:

— N. Panie, składam w twe ręce zwłoki cesarza Napoleona.“

— Przyjmuję je w imieniu Francji, odpowiedział król.“

„Bertrand złożył na trumnę szpadę cesarza, miecz najślawniejszy jaki kiedy dźwigał bohater, i trumnę spuszczone do przybytku dla niej przeznaczonego.“

„Naówczas sześćset głosów zanuciło chórem pieśń, z towarzyszeniem orkiestry. Część majtków fregaty *La Belle Poule* wróciła na wyznaczone im miejsca, poniżej nas, i słuchała muzyki, dla pokrzepienia się żując tytuń. W czasie śpiewów część lamp pogasła...“

„Gdyśmy wychodzili, dziedziniec Inwalidów, wypełniony tłumami przed chwilą, był prawie pusty. Na esplanadzie starzy żołnierze bili jeszcze z dział z ogromnym łoskotem. Mówiono mi, że strzelano dla króla jegomości, który powracał do pałacu tylnymi wrotami. Cztérdzieści tysięcy ludu okrywającego aleję Inwalidów rozproszyło się bez śladu. Statek który przywiózł zwłoki cesarza, stał uwiązany do brzegu, samotny, i prócz kilku drżących od zimna widzów, nie miał koło siebie nikogo. O godzinie piątej powróciliśmy do domu. Na niebie znowu świeciły gwiazdy jasne, a panna Franciszka oznajmiła, że... dano do stołu.“

Tak się kończy ten oryginalny opis Thackeray'a, który stronę filozoficzną uroczystości odmalował bardzo trafnie. *Sic transit gloria mundi*. Godzina obiadowa kazała zapomnieć wszystkim o bohaterze; mróz wpływał na usmierzenie uczuć, a potem od brzasku do nocy oddawana cześć bohaterowi znużyła największych jego wielbicieli.

Z niepospolitym talentem i swobodą nakreślono ten obraz, który mimowoli obudza porównanie sposobu obchodzenia się Orleanów z Napoleonidami i Napoleonów z Orleanami. Ludwik Filip uznawał przedwcześnie ideę napoleońską za umarłą. Miałoby cesarstwo trafniej widzieć i przeczuwać słuszniej, że Orleanowie nie wyrzekli się ani nadziei, ani stosunków mogących im powrót zapewnić? Rzadko przed kim przyszłość się odsłania...“

Kilka słów o charakteryce. (*)

Panie redaktorze!

W skutek wspomnienia o charakteryce umieszczonego w Nr. 27 Tygodnika Ilustrowanego, i za po-

(*) Otrzymałem w tym przedmiocie korespondencją powyższą drukujemy tęp chętniej, że dotyczy ona nauki bardzo ciekawej, a dotąd przez nikogo u nas nie tkniętej.

(Przyp. red.)

średnictwem jego redakcyi otrzymawszy list z żądaniem ocenienia charakteru osoby piszącej, przesyłam panu odpowiedź, dla umieszczenia w Tygodniku, jeżeli łaska, wraz z przerysem (*facsimile*) owego charakteru.

Nie jestto bynajmniej z mojej strony wyzywaniem osób nieznanymi do podobnej korespondencji, takie bowiem eksperymenta, przypominające fizyczne lub chemiczne zabawki, opłacać się mogą chyba tylko na rzadkich dziś wybitnych osobistościach. Jedynie przez nieznaną polską charakterykę, ogół uważa ją za pewien rodzaj *jasnowidzenia* dla popisu, widząc jej wartość tylko w badaniu charakterów nieznanymi; gdy przeciwnie taka zabawa bywa najczęściej nietylko bez pożytku, ale nawet niebezpieczną, jak wszystkie sztuki łamane. Chirogramatomantę możnaby porównać do lekarza, co postanowił nie leczycy inaczej jak z wejrzenia, ze szkoda dla siebie i pacjenta. Charakteryka, jako pokrewna psychologii, ma cele wyższe i pożyteczniejsze.

Jakkolwiek dusza, choćby nam najbliższa, zostaje dla nas przez swój ogrom zawsze światem nieznanym, wolno nam przecie do niej zaglądać, i życie nie ma poważniejszego ani też bardziej powszechnego zajęcia. Patrzeć na człowieka, słuchać go lub z nim rozmawiać, cenić go i kochać, ufać mu, lub go się lękać, jestto zaglądać do jego duszy. Czynią to same nawet zwierzęta. Lecz w życiu widzimy tylko złożone wyniki sił wewnątrz ukrytych, niby ciała z nieznanymi pierwiastków utworzone. Niełatwo też i nieprędko dochodzimy tą drogą do pożądaną pewności, czego nam dowodzą częste niespodzianki ze strony charakterów na pozór dobrze nam znanych. Owóż charakteryka przynosi umysłowi badacza działanie odwrotne, jako sprawdzian tamtego, czyli przeciwnego jego dopełnienie. Niby chemia duchowa, rozkłada ona rysy złożone na ich pierwiastki.

Ale też zato sama z siebie, to jest bez pomocy historii badanego charakteru, mało powie pewnego o jego objawach zewnętrznych. Umysł rozważny i doświadczony domyśli się wprawdzie nieraz przez analogią niektórych skutków wspólnego działania pierwiastków w nieznanem piśmie odkrytych; ale najczęściej pewność w tym względzie będzie daleką od niego. Czy dostrzegł wszystkie działające w tym charakterze pierwiastki i czyli nawet to jest w jego mocy? Czy przynajmniej wiernie zważył *równoważniki* pierwiastków dostrzeżonych? Czy zbadał wszystkie możliwe ich kombinacje i czy poznał własności każdej z nich? Na te i inne pytania sumienie zawsze mu odpowie: Pewność wtedy tylko może być twoim udziałem, jeśli, jak dziecko, zewsząd się otoczysz środkami, danymi ci dla wspierania twój słabości. Skoro zaś dla popisu odrzucisz choć jeden z nich, pewność twoja będzie już tylko udaną.

Porównałem charakterykę do chemii, a zewnętrzne objawy duszy do ciał złożonych, i w tym porównaniu znajduję szczególną trafność. Elementa materyalne, przez związki między sobą, tworzą istoty tak odrębne od siebie i tak rozmaite, że tym różnicom nadziwić się nie można. Dwa ciała lotne oraz rozprężliwe i ściśnięte bez granic, dają ciecz nieściśliwą, — wodę. Azot, wodoród i węgiel, wszystkie trzy bez dostatecznego działania na ciało, tworzą piorunującą truciznę, — kwas pruski. Jedne i te same żywioły, w rozmaitych tylko proporcjach, składają przeróżne ciała, pożyteczne lub szkodliwe. Chemia przez analizę poznaje te z nich, które znajduje gotowe, ale nie może ich odkrywać *a priori*, a tym mniej przepowiadać ich własności.

Podobnie się ma i z duchowymi przymiotami człowieka. Dany skład tych przymiotów, charakteryka rozbiiera na jego pierwiastki. Ale z elementów odkrytych w nieznanym charakterze wnieść o rozlicznych własnościach jego składowych, to w tym życiu o wiele przechodzi bystrość ludzkiego umysłu. Pismo człowieka marnotrawnego nie zdradzi rozrzutności w sposób niewątpliwy, ani przez rozumowanie, któremu dla podobnej syntezy brak dostatecznej dzielności, ani za pomocą składni intuicyjnej, nagłej, lecz niezawsze wierną i nie od nas zależną.

Ale co pismo to wyda napewno, to pierwiastki owę wady, np. tkliwość, pochopność i słaby rozsądek, albo uczucie estetyczne i próżność, albo nieład ze zmysłowością, lenistwem lub słabością. Cóż jednak mogą ztąd wnieść pewnego o nieznanym mi

człowieku? Kto mi powie, jakiej siły kwas marnotrawstwa powstaje z przymieszki tej lub owęj ingrediencji w tej lub owęj proporcji? A potem kto zaręczy, że nie przesłepiłem w danym charakterze jakiego pierwiastku działającego jako antydot, a który może w cnotę zamienić skład na pozór niekorzystny?

Jedynym przeto godziwym i pożytecznym materiałem dla charakteryki, mogą być tylko pisma ludzi znanych badaczowi osobiście, lub ze świadectw niewątpliwych. A im głębsza znajomość, tym większy pożytek.

Zgodziwszy się na to, że w badaniu ludzi tylko złożone dwa poglądy, historyczny *a posteriori* i psychologiczny *a priori*, mogą dać światło, łatwo uznasz panie, że nic nie może być bardziej zajmującego, jak badanie charakteryczne pism sławnych ludzi, których czyny budzą w nas szczególne uczucia uwielbienia lub zgrozy. W *Uwagach ogólnych o charakteryce*, umieszczonych w Gazecie Polskiej z 13 grudnia 1866 r., wspominałem o dwóch różnoczesnych podpisach Wallensteina. Bez podstawy historii, nie mógłbym nigdy wysnuć jego życia z tych rysów; lecz widzę w nich przymioty które czyniły tę duszę tak świetną, a następnie nadużyte, doprowadziły ją do

wiek bojaźliwy pisać jak człowiek śmiały, skromny jak zaufany w sobie, ostry jak łagodny, ruchliwy lub gwałtowny jak cichy, namiętny jak spokojny, leniwie myślący jak bystromyślny i przytomny, bezładnik jak porządny, słaby, miękki, zniewieściały jak sprężysty, dzielny i hartowny, zimny i wyrachowany jak pochopny i życzliwy, melancholik jak wesoły, skąpy jak hojny, umysł analityczny jak syntetyczny, ślęczący jak bujający, krytyk jak poeta i t. d. i odwrotnie? A czy moglibyśmy mówić o tych wszystkich niepodobieństwach, gdybyśmy w tém nie czuli prostych związków między przyczyną a skutkiem? A czémże są te związki, jeśli nie elementami stałych prawideł?

Z góry więc wolno już powiedzieć, że te i podobne pytania odejmują siłę przeczeniu i szalę wątpliwości stanowczo przechylają na stronę twierdzenia, czego mi dość nateraz. Dodam tylko, że podobne gawędy, (o ile praca dzienna mi sił i czasu na nie zostawi), zwłaszcza objaśniane odrysami, torowałyby skutecznie drogę do badań szerszych i głębszych, do którychbym może rychło doszedł, gdybyś raczył, panie redaktorze, nie odmówić im życzliwej swęj gościnności.

W. Jelski.

Odpowiedź panu J.

*Z tego kilka wierszy mój
Przeznane sprostuje kłopot
Nowa myśl wyradzi w przedziny*

upadku. Podobnie patrząc na podpisy Napoleona I-go, nie wiedziałbym co myśleć o jego życiu; ale wyliczając cechy jego charakteru, samem już ich zestawieniem doszedłbym do przekonania, że nikt podobnie nie pisał.

Inne pola, o których w tymże artykule mówiłem, są wychowanie i praca moralna nad sobą. W tém charakteryka, że tak powiem, iskrzy się prawdą najpraktyczniejszą, napelniając badacza wzniosłym uczuciem, że stoi na gruncie moralnego postępu.

A jednak wszystko to zależy jeszcze od jednego wyższego pytania: czy charakteryka może być nauką; czy między duszą, to jest pamięcią, rozumem i wolą z jednej strony, a piśmem z drugiej, dają się dostrzeżać jasne związki przyczyny i skutku? Na tę wątpliwość odpowiadać może tylko wędrowka za przewodnikiem, który sam już zwiędzał te kraje. Tu tylko postawię panu, a w jego osobie i wszystkim ludziom myślącym, kilka pytań.

Czy jest w piśmie choć jedna jota, albo jedna mikroskopijna cząsteczka, któraby nie świadczyła czémkolwiek o duszy co ją stworzyła? Czy z drugiej strony jest w duszy jednej i nierozdzielnej cokolwiek, coby mogło nie odbijać się w każdym czynie duchowo-zmysłowej istoty człowieka, a więc i w tym ze szlachetniejszych jego czynów, który zostawia trwałe ślad swego przejścia? Jaka więc może zająć zmiana, coby nie zostawiła znów śladu odrębnego, na tym odrębnym śladzie osobistej czynności człowieka? Przypatrz się, panie, piszącej twój ręce. Jej działanie jest zupełnie swobodne. Zkądże ta jednostajność w jej ruchach, ta osobistość tak silna, że podpis twój chodzi między ludźmi, jakby własna twoja osoba?.. Ale weźmy tylko jeden z jego rysów. Niech ktokolwiek spróbuje naśladować jego wewnętrzne przymioty. A ty sam, panie, spróbuj je zmienić dowolnie, bez ciężkiej pracy własnej twój duszy nad sobą. Albo, nie sięgając tak głęboko, chciej skręcić w silnym poruszeniu rysy spokojne, lub naodwrot gniwne w usposobieniu łagodnym; albo też naśladować własne pismo z przed laty dwudziestu; albo nakoniec napisać jednakim swobodnym charakterem notatkę i utwór literacki, list i akt urzędowy, prośbę i rozkaz.

W tém wszystkiem trzeba uznać jakąś żelazną konieczność. Jak się zmienia człowiek, głęboko czy płytko, tak, niby obraz w lustrze, musi się zmieniać i pismo, powierzchownie w kształtach, albo do głębi w rysie, mocą owego związku między duszą a jej czynami, który prostakom, dzieciom, a nawet zwierzętom daje wyczytać głęboko ukryte intencje i usposobienia nasze z twarzy, ruchów i ułożenia.

Przejdźmy jeszcze na inne pole. Czy może czło-

Dziękując panu za zaufanie okazane człowiekowi nieznanemu, chętnie się zgadzam na jego żądanie, by bez ogródki powiedzieć wszystko, choćby najgorsze, co w jego piśmie odkryje.

Charakter genialny, w mojem szerokim rozumieniu, — to jest *rodzimy* i *samodzielny* (jak każdego człowieka, o ile ten w sobie nie stłumił dziecięcej prostoduszności), — ale próżnym dymem ulatujący; innemi słowy: kocioł parowy, świszczący parą przez wszystkie szwy.

Bogate materiały tego charakteru potrzebują kształtującej ręki dwóch niebiańskich istot: szczerości i skromności, które stoją u drzwi jego, czekając daremnie. Pierwsza jest wprawdzie w przedpokoju, do którego ją wpuściłeś, — czemu nie dalej? Bo mieszkająca wewnątrz mądrość świata, *przebiegłość*, ją odtrąca, nazywając głupią tę, co stokroć mędrsza od niej.

Co do skromności, o niej już mowy niema. Jaki bowiem pożytek z tego, czego ludzie nie widzą, ani słyszą, co hukowi nie daje?

Wprawdzie miękkięj duszy junakierya dodaje na pozór mocy przez impet, i, że tak powiem, przez wziętą na siebie w obec ludzi odpowiedzialność, czyli przez przymierze woli z miłością własną. Ale czy istotną jest siła nie z wnętrza płynąca i nie posiadająca siebie w każdej chwili?

Lecz, powiesz pan może, cóżby pozostało temu, któremu siła nie była daną, albo który jeszcze i część darowanej sobie zmarnował w miękkości i cielesności? Wszak to rzecz nierzadka, zwłaszcza w tym wieku.

Nic nie ginie u Dawcy wszystkiego. Jego było wszystko i zawsze jest. Do niego pan się zwróć po spokój i jedność dla duszy i nerwów. Ale bez szczerości daremnie tego gościa zapraszać. Jedno bowiem z imion jego jest *prawda*. Szczerości zaś niema, gdzie owa mądrość świata, przebiegłość, kieruje słowami, uczynkami, poruszeniami, wzrokiem, uśmiechem, wbrew uczuciu i przekonaniu. I oto właśnie co wpływa fatalnie na pański charakter w życiu i w piśmie.

Zaglądając w siebie, odkryjesz pan, że przebiegłość stawia cię najczęściej ukośnie. Lecz powiedz mi: co takiego zdobywasz przebiegłością, czegobyś szczerością nie wziął jak swoje? Albo jakiego zła tą drogą unikasz, którego by prawda nie rozwiała przed tobą, albo ci pod nogi nie rzuciła?

Długą i krótką zarazem drogą panu wskazuję. Lecz nie wątpię, że wejdiesz na nią i na niej wytrwasz, boś w gruncie pełen żywego pragnienia. Nie mało wprawdzie czasu straconego; ale gorliwość odkupuje czas i samą przeszłość znowu naprzód przetrzuca.

UROCZA,

POWIEŚĆ

przez T. T. Jeża.

(Dalszy ciąg).

— Mówisz jakbyś z książki czytał... Ani się domyślałem, żeś taki wymowny. Przepowiadam ci, że pomimo iż nigdy noga twoja nie przekraczała uniwersyteckich progów, zapędzisz w myśnię jamę Jurasia Koreckiego.

— Oho! podchwycił panicz. Wiem do czego strzelasz. Kadzisz mojej miłości własnej, w celu zrobienia ze mnie narzędzia zemsty nad Jurasiem...

— Zemsty?... za co?...

— Za harapnik.

Pan Stefan rzucił sobą niecierpliwie, jakby go ten wyraz rozgniewał.

— No... nie gniewaj-że się—wyrzekł powoli młody człowiek. Nie znasz się chyba na żartach.

— Co nadto... wiész?...

— Wiem, odparł Fasio—tego i panowie Koreccy nie jedzą.

Pan Stefan buchnął śmiechem.

— To ci się udało... Ale, żart na stronę; ten Juraś bardzo mi się podobał... Jest w nim ogień, jak w arabskim koniu. Braknie mu tylko otarcia się w świecie i zapomnienia tego, co w elementarzach wyczytał... Jak jednego nabierze, a drugie zapomni, może jeszcze na porządnego wyjść człowieka. Mam zamiar wziąć go pod szczególną moją opiekę.

— Winszuję ci pupila, a jemu opiekuna... Dlatego zapewne chciałeś skłonić mnie do propozycji najechania na kobyłaniecki dwór, w którym zanudziłbym się na śmierć, bo ręczę, że w całym dworze niema ani jednej talii kart.

— Masz rację.

— Dlatego wolałbym kobyłaniecką karczmę...
— W której także wątpię, ażeby się talia kart znalazła.

— Ale Urocza?

— Tak-że i gadaj! podchwycił pan Stefan. Czemuż nie powiedziałeś tego od razu?

— Lękałem się być posądzonym...

— O co?

— O egoizm... o to że, zaprosiwszy na dziś towarzystwo całe do Bruzdowic, dla własnej fantazyi chciałbym gości zatrzymać w karczmie.

— I... dziecko z ciebie. Ręczę że nikt nie będzie miał za to do ciebie pretensyi, ani nieutulony w żalu po stracie charcicy pan Jan, ani rozfilozofowany pan Stanisław, ani stający w obronie niewinności pan Jerzy... Nie mogłeś nic rozumniejszego wymyślić, jak uraczyć gości Urocza... Świetny pomysł!

— Chodzi tylko o to, jak go wykonać.

— To rzecz najmniejsza... Zatrzymamy się, zawrócę konia, zawołam: ucziszcie się! i przedstawię rzecz w twoim imieniu.

— Ależ tu nietylko chodzi o przedstawienie rzeczy, lecz także o niedotknięcie pewnych drażliwości...

— Naprzykład?

— W naszym gronie mamy właściciela Kobyłanki. Gdy objawimy zamiar nocowania w karczmie położonej na jego gruncie, on wystąpi z zaproszeniem nas na noc do dworu.

Gdy zaproszenia nie przyjmiemy, on nie będzie mógł z nami pozostać i uczuje się jakby wyproszonym z naszego towarzystwa... Polowaliśmy na jego gruntach, więc go wypraszać z towarzystwa nie wypada. Rzecz jest okrutnie skomplikowana.

— To prawda, — rzekł półgłosem pan Stefan.

Fasio i pan Stefan zamyślili się i jechali przez pewien czas w milczeniu.

— To sęk—odezwał się pierwszy.

— Cóż tu robić?

Znów milczeli i myśleli.

— Wiész co—odezwał się po chwili pan Stefan.—Obracałem rzecz na wszystkie strony... Tak źle, a tak jeszcze gorzej, i niema innej rady, tylko nikomu nic nie mówić.

— I ciągnąć do Bruzdowic?

— Ciągnąć do Bruzdowic.

— Za nic! krzyknął młody człowiek. Tak się gwałtownie do Uroczej rozskomiłem, że gotówbym wykraść się sam jeden.

— I wyszedłbyś na tém lepiej, aniżeli w takim tłumie.

— To być może... ale, koniec końcem, zostanie się z tłumem byłoby ubliżeniem ludziom, którym ubliżać nie mam ani prawa, ani powodu.

— Więc niema innej rady, tylko ciągnąć do Bruzdowic. Zaprosiłeś?... rzecz skończona... A ciągnąć, trzeba wynaléć sposób zatrzymania się i pozostania na noc...

— Sposób?... co za sposób?... dawaj mi sposób!... wołał niecierpliwym młodzieniec.

— Szukajcie, a znajdziecie — odparł flegmatycznie pan Stefan. Trzeba się zresztą trochę i na natchnienie spuścić...

— Ho! ho!... — wykrzyknął Fasio, wywijając w górę harapnikiem. Pan Stefan z natchnieniami radzi się wdawać... Dziękuję... Jak widzę z tego nic nie będzie, a poczułem nagle do Bruzdowic wstręt nieprzewyciężony...

— Czegóż chcesz!... Czekaają cię tam rodzicielskie uściski i siostrzane panny Róży pocałunki.

Fasio machnął ręką, z oznaką rozdaśania.

— Mam tego póty...

I pokazał sobie harapnikiem miarę na gardle.

— Jeszcze kiedy w tych uściskach roztopnieję... Wolałbym...

— Uścisk Uroczej — podpowiedział pan Stefan.

— Aha!...

I począł sobie półgłosem nucić:

A przyjechać do niej trudno,

A wyjechać od niej nudno.

I głośno a dobitnie zagwizdał mazurka:

„Hajże do mnie, nie do niej!“

Kolumna jeźdźców posuwała się coraz to bliżej i bliżej ku Kobyłance, a zmrok wieczorny stawał się coraz to gęstszy.

Czytelnik wie, że Kobyłanka była i wsią i miasteczkiem, i że wjeżdżało się do niej bądź przez wieś do miasteczka, bądź przez miasteczko do wsi. W pierwszym razie na wstępie była grobla z młynem, w drugim domostwo Borucha. Owóz ta karczma, o której Fasio z panem Stefanem się rozgadali, była owóm domostwem, które wraz z żoną dostało się Boruchowi, po sprawiedliwej pamięci Ieku.

Boruch pamięci swego teścia wstydu nie zrobił pod żadnym względem, wyjąwszy chyba pod jednym. Był akuratywny, rzetelny, nawet poczciwy, zasłynął jako rozumny i sprawiedliwy,

ale—jakby to powiedzieć? pokpił sprawę. Żeniąc się wyobrażał sobie, że na starość będzie takim kozłem wśród trzody ludzkiej, jak nieboszczyk Icko, że rozrodzi się i spoważnieje w synach i córkach, wnukach i wnuczkach, prawnukach i prawnuczkach. Wyobrażał sobie przyszłe rodzinne szabasy, na których będzie świecił tyle łójówek, ile dzieci, i marzył o liczbie sto...

— Aj waj!.. sto świeczek!...

Uśmiechał się, głową powoli kiwał, brodę dłonią gładził i pejsy na palce zawijał.

— Sto świeczek!...

To było jego marzenie.

Zapalić sto świeczek, odśpiewać „odyno“, zasiąść do wieczerzy przy długim, bardzo długim stole, patrzeć na bachury różnego wzrostu i rozdzielać pomiędzy nie gugiel—zdawało się mu, że tej nagrody Jehowa mu nie odmówi.

Zawiódł się jednak. Kamieniem mu to na sercu i sumieniu leżało, że Pan Bóg był na niego tak niełaskaw i obdarzył go jedną tylko córką.

Przyszła ona na świat równo w rok po ślubie, w samą rocznicę, nawet o tej samej godzinie, w której połączyli się Boruch i Chaja. Była to godzina pamiętna, wesoła raz, w rok później wesoła drugi raz. Boruch przypominał sobie, jak rok temu skrzypiały skrzypki, piszczały klarynety i brzęczały cymbały—aż tu z drugiej izby odezwało się:

— Wee...

A to „wee“ wydało się mu piękniejszym nad skrzywienie skrzypek, piszczenie klarynetów i brzęczenie cymbałów. Wydało się ono mu tak pięknym, że mu łyzy z oczu lunęły, a śmiech radośny z serca się wydzięrał. łyzy i śmiech połączyły się w jedno. I było Boruchowi tak rozkosznie, tak słodko, że tej rozkoszy i słodyczy żaden język nie wypowie. I myślał sobie:

— Tak będzie co rok...

A gdy się uspokoił, to nasamprzód podziękował Jehowie z góry za to co będzie, a potem za córkę.

Rok wszelako przeminął na daremnym oczekiwaniu. Przeminał drugi i trzeci. Boruchowi było markotno, ale pocieszał się, powtarzając sobie:

— Niechajno...

Gdy jednakże przeminął rok dziesiąty, zaczął się frasować, bo poznał że dziękował Panu Bogu napróżno, że się cieszył napróżno. Wielka uciecha, zmieniła się na wielki smutek, a w tym smutku udał się do tego samego goima, który go na człowieka wykierował, a którym był nie kto inny, tylko ojciec znajomego nam akademika, pan Michał Korecki. Udał się, stanął przed nim i..... zapłakał.

— Boruchu! co ci jest? czy jakie nieszczęście?... zawołał zdziwiony dziedzic Kobyłanki.

Boruch z kieszeni łapserdaka wydobyl kraciastą chustkę i oczy sobie zakrył.

— No, mówże... Co się stało?...

— Nieszczęście!...

— Co za nieszczęście?...

— Och!...

I głową Boruch kręcił.

— Żona zdrowa?...

— Zdrowa...

— Dziecko zdrowe?...

— Zdrowe...

— Okradli cię?...

— Nie..

— Skrzywdzili?...

— Nie...

— Możesz zbankrutować?...
— Nie... ach!... Gorzej jak zbankrutować...
Panie wielmożny!... ojciec!... tatusiu!... dobro-
dzieju... Tyś mnie ratował, poratuj i teraz;
tyś mi radził, radź i teraz... Co ja mam robić,
biedny człowiek?...

— O cóż ci chodzi?..
— Oj!..
Westchnął i głową pokręcił.
— Cóż przecie?... dopytywał się pan Mi-
chał.

— Ny..
Za pejsy się obiema rękami pochwyił i ki-
wał się i płakał.

Pan Korecki przestał się Borucha dopyty-
wać, ale go posadził i usiadł obok niego, ocze-
kując aż się uspokoi i będzie w stanie o nie-
szczęściu swoim opowiedzieć.

I doczekał się następującej skargi:
— Dziesięć lat... ot, idzie na jedenasty,
a mnie się tylko jedno urodziło dziecko..

— Więc cóż z tego?
— Więc to wielkie nieszczęście... Więc ja
przyszedł do wielmożnego pana, jak do ro-
dzonego ojca... Ratowałeś, ratuj; radziłeś,
radź...

Pan Korecki uśmiechnął się i ramionami
ściśnął.

— Cóż ja ci, kochany Boruchu, na to po-
radzę?

— Ach!... to wielkie nieszczęście... Ja się
tak cieszył!... tak się cieszył!...

— Czyż nie masz czego cieszyć się i te-
raz?... Masz żonę, kobietę poczciwą, córka
ci się chowa zdrowo i ładnie, interesa ci idą po-
myślnie...

— Ale nie mam dzieci wiele!... wiele!.. wy-
krzyknął Boruch i wyciągniętą ręką poka-
zywał dłonią szczeblowanie wzrostu dzieci od
ziemi do góry. A ja myślał, że za to że ja
człowiek rzetelny, Pan Bóg mi pobłogosławi,
i czekam... czekam... już lat 10 na jedenasty...
Co ja mam robić?...

— Na to niema rady— rzekł stanowczo i tro-
chę niecierpliwie p. Korecki.

— Zydzi mi radzą, żebym się rozwiódł
i wziął inną żonę...

— Ci co tak radzą, to są gałgany! krzyk-
nął pan Michał gniewnie. I ciebie takbym
nazwał, gdybyś tej rady posłuchał...

— Ny!... odkrzyknął Boruch. Oni tak ra-
dzą, ale ja ich nie słucham i dlatego przysze-
dłem do wielmożnego pana, ażeby się zapy-
tać, czy niema na to jakiej rady...

— Szanuj żonę, kiedy poczciwa, wychowuj
córkę aby była poczciwą i dziękuj Panu Bo-
gn za to co jest, a prosz Go o więcej... Jeżeli
to zgodne z Jego wolą, ażebyś miał więcej
dzieci, będziesz je miał...

— Ach! ja proszę i proszę — podchwycił
Boruch.

— Dobrze robisz Reszta do ciebie nie
należy.

Ta rozmowa nie była, właściwie mówiąc,
balsamem pociechy na serce Borucha, ale go
uspokoila i pomogła zgodzić się z losem, który
zawsze wydawał mu się twardym. Marzenia jego
rozwiały się, niby dym w powietrze uleciały,
na czem Boruch może wiele stracił, lecz zato
zyskało jego domostwo, które za staraniem
przyzwyczajonej przez siostry i bratowe do
roboty Chai, stało się czystym i nawet w pew-
nym stopniu eleganckim. W pokojach go-
ściennych, w stajni i w kuchni panował porzą-
dek, którego nie było komu psuć. Gospodar-

stwo zajmowali izdebkę, w której stało łóż-
ko podwójne, wysłane betami pod sam sufit,
a piernaty i poduszki obleczone były zawsze
świeżymi i czystymi prześcieradłami i poszewka-
mi. Stało w tej izdebce jeszcze łóżko pojedyncze,
zawalone także betami i także czyste. Z za-
szyb politurowanej szafki, wyglądała porce-
lana i srebrne naczynia. Na politurowanym
stoliku stało gotowalniane w mahoniowych ra-
mach zwierciadło. Półki przybite pod samym
prawie sufitem, zapełnione były książkami
w skórzanjej oprawie. Na szafie w szeregu
stały ciężkie świeczniki ze złożonej miedzi. Do
tej izdebki wchodziło się przez kuchnię i mia-
ła ona minę kryjówek, w której panował nie-
zamęczony nieczem spokój. Było to *sanctuarium*
Borucha, Boruchowej i ich dziecka. Nikt też
tam nie zaglądał, tylko ich troje. Dla kuchar-
ki była kuchnia, dla stróża całe domostwo,
dla miszurysa wszystkie gościnnie pokoje, któ-
rych było dwa po jednej, trzy po drugiej stro-
nie, jeżeli — rozumie się — nie zajmowali ich
goście, a dla nich izdebka zaciszna, spokojna,
ciasna, ale wygodna.

We troje stanowili mały światek, w któ-
rym było im bardzo dobrze — tak dobrze, że nie
rozumiem dlaczego Boruchowi chciało się za-
pełnić go w taki sposób, jak rybacy zapeł-
niają śledziami beczki. To jednak zależy od
wyobrażenia, jakie sobie ten i ów człowiek
o dobrém robi. Boruchowi światek w którym
troje ludzi swobodnie się obracało, wydawał się
pustym. Według mnie był on pełnym, naj-
przód pełnością spokoju, tego dobra, którego
osiągnięcia takie mnóstwo ludzi nadaremnie
pragnie, a następnie tém, że w parze z do-
brem stało piękno, zadziwiające, zachwycają-
ce, niesłychane, niewidziane, zdolne najbrzyd-
sze miejsce zalać potopem światła. Tém pię-
knem była ich córka, którą oni nazwali Ruch-
lą, a którą ludzie przewalili *Urocza*. Któs to
przewisko wymówił pocichu i przyłgnęło
do niej. Wymówiony pocichu wyraz pod-
śluchany został przez wszystkich, a podchwy-
cony i powtórzony, stał się imieniem własném
dziewczyny, którą od stóp do głowy ota-
czał urok, promieniejąc od niej, niby nimb.

Ach! byłaż-bo piękna!

Boję się opisywać rysy jej twarzy i kształ-
ty jej postaci, tak jak ludzie bali się blisko do
niej przystępować, wstrzymywani zdaleka tém
uszanowaniem, które nakazuje chylić czoło
przed pięknem. Natura się na nią wysiliła we
względzie estetycznym. Zrobiła z niej klasycz-
ne cacko, któremu żaden najwybredniejszy
krytyk nie miałby nic do zarzucenia, ani pod
względem regularności rysów, ani też pod
względem przebijających się przez nie od nie-
chcenia wdzięków, które nasuwały na myśl ma-
rzenia o tajemnej głębi duszy, obleczonej w nie-
poszlakowanej czystości i poprawności kształ-
ty, według modelu niewiast biblijnych, na-
szkicowanych przez autora Pieśni nad pie-
śniami. Miała w sobie coś wschodniego, pa-
lącego, czego zapewne powodem była kru-
cza czarność jej warkoczy, tak długich, że roz-
puściwszy je, mogła się niemi nakryć jak płą-
szczem, i hebanowa czarność jej ocz, tak głę-
bokich, że patrzący zawrotu głowy dostawali,
jak nad przepaścią.

Cóż więcej o niej powiedzieć?... Analizować
ją?... opisywać z osobna jej wzrost, kibić, za-
okrąglenie biustu, wytok szyi, kolor cery, jej
uśmiech, usta, nos, czoło?... Nie!... boję się...
Wolę obraz jej zostawić w naszkicowaniu i po-

prosić czytelnika, ażeby go sobie sam, siłą wła-
snej wyobraźni, wykończył. Przecież każdy
z nas marzył o jakimś ideale w niewieściej
postaci. Niechże ten ideał przywoła na chwile-
kę z krainy marzeń, niech go ubierze w czarne
włosy, czarne oczy, czarne brwi i czarne rze-
sy i niech go nazwie Urocza. Mniej więcej
i ja to samo zrobiłem. Moim bowiem ideałem
— w czasach kiedy się ideały tworzyło — była
zawsze jasnowłosa imodrooka blondynka. W o-
bec Uroczej zmuszony jestem z moim ideałem
na chwilę się rozstać. Niema rady. Bywa
piękno nad piękno — i szacunek dla prawdy
zniewala mnie do przyznania się, że nigdy mi
się nie udało stworzyć takiego ideału, który-
by pod względem piękności wyrównał córce
Borucha.

W chwili w której się nasza powieść rozpo-
czyną, to jest w chwili poszczucia na ukraiń-
skim stepie tego wilka, co się po Horacyu-
szowsku znalazł, Urocza miała równo lat sie-
demnaście. Lat siedemnaście!.. Nad temi
dwoma wyrazami nie mam potrzeby się roz-
wodzić, ani dodawać do nich jakichkolwiek
objaśnień. Starzy i młodzi obojga jęki czy-
telnicy wiedzą, co to znaczy dla pięknej nie-
wiasty lat siedemnaście.

Miała tedy Urocza lat siedemnaście, sie-
działa w swojej izdebce przy zapalanej świe-
cy i dłubała coś igłą; Boruchowa siedziała
w głębi pod piecem i robiła na drutach błę-
kitną pończochę, a Borucha nie było — wyje-
chał za interesami — kiedy nagle okrzyk miszu-
rysa oznajmił przybycie licznych gości.

Boruchowa rzuciła pończochę i porwała się
do zapalania świec, a Urocza nastawiła ucho
i zdziwiła się. Zwykle przyjazd gości spra-
wiał hurkot w całym domostwie. Tym razem
hurkotu nie było, tylko tętent i okrzyki.
Krótkie wsluchanie się w okrzyki napełniło ją
trwogą. W słuch jej bowiem wpadły naraz: je-
czenie, stękanie i wołanie o ratunek.

— Zdejmuj!.. trzymaj!.. ostrożnie!.. po-
woli!..

— Biegnij cożywo po cyrulika!..

Oto co w gwarze dosłyszeć mogła. Więc
poskoczyła, wybiegła do kuchni i, uchylwszy
drzwi, na podsień głowę wystawiła. To co
zobaczyła, było dla niej widowiskiem cieka-
wem. Mnóstwo koni, mnóstwo psów i mnó-
stwo ludzi. Nagle o szarej godzinie zrobił się
jarmark. Konie zniknęły w głębi podsieni, od-
prowadzone do żłobów, psy skowyczały, a po-
między ludźmi panował gwar głośnych rozmów,
nad którymi dominowało stękanie i je-
czenie.

— Co to znaczy?... zapytywała sama sie-
bie Urocza, a musiała sama siebie pytać, bo
matka, kucharka, miszurys i stróż zajęci byli
usługiwaniem gościom. Nieprędko też do-
wiedziała się od kogoś, że przyjechał chory
puryc...

Co to jednakże był za *puryc*, to długo je-
szcze pozostało dla niej zagadką, której wła-
snym rozumem rozwiązać nie mogła, bo cho-
rego wnie-iono do izby.

— Oj!.. och!... — wciąż rozlegało się po do-
mostwie.

Urocza weszła napowrót do swojej izdebki
i wciąż słyszała jęki i stękania, które jej pier-
si uczuciem politowania napełniały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Biblioteka Wróblewskich.

Nr 1291

Lit. J

Dział

Półka

A-19

071

LIETUVOS MOKSLU
AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00250871 3

Lietuvos Mokslų Akademijos
BIBLIOTEKA
P 3130
T. 2 / 1868